

ZIEMIA ROZDARTA
albo ŚWIĘTOŚĆ NIE POPLACA
DRAMAT W 3 ARTACH Z PROLOGIEM

PROLOG — Tarszek, pow. Brzesko, woj. Kraków (dekanat borzęciński)

AKT 1 — Wrocław

AKT 2 — Nysa

AKT 3 — Wrocław

Rzecz dzieje się w latach 1292—1341.

DRAMATIS PERSONAE:

NANKIER KOLDA, młody ksiądz, potem biskup wrocławski. Ślązak. Polak. Herbu Oksza.

PAWEŁ Z PRZEMANKOWA, biskup krakowski, z Sandomierskiego. Herbu Półkozic.

JAN MUSKATA, kanonik krakowski. Archidiakon łęczycki. Ślązak. Herbu Gozdawa.

MIKOŁAJ VON BANTSCH, kanonik wrocławski, administrator diecezji, minister Henryka VI
ks. wrocławskiego. Z możnego patrycjatu wrocławskiego. Niemiec.

ARNOLD VON PROTZAN, kanonik wrocławski i kanclerz kapituły. Ślązak. Niemiec.

PIOTR Z BYTKOWA, kanonik wrocławski. Ślązak. Polak.

HENRYK Z WIERZBNA, kanonik wrocławski. Ślązak. Polak.

KONRAD VON LOSLAU, augustinianin, kuchmistrz zakonu augustiańskiego. Ślązak. Niemiec.

PIOTR Z AUVERGNE, legat kolektor papieski. Francuz.

BEPPA ACCIAJUOLI, bankier florencki. Włoch.

SALOMON, marszałek dworu i kuchmistrz ks. Bolka Legnicko-Brzadzkiego. Żyd.

ERHARD SZMIDT, snycerz w drzewie. Niespełna rozumu. Ślązak. Niemiec.

FRANÇOIS, czeski paź. Czech.

JAN KAPUSTA, szewc wrocławski. Ślązak. Polak.

GRACJAN JOCHEL, totumfacki na dworze biskupim w Nysie. Ślązak.

JAN LUKSEMBURG, król czeski.

JAN WIENER, kanonik u św. Krzyża.

ELŻBIETA, córka Wacława II, żona Jana Luksemburczyka. Królowa czeska. Zjawa.

DOROTA DROBOTÓWNA, klaryska ze Skąły, później księżni klarysek w Nysie. Z Krakowskiego.

ALDONA ANNA, córka Giedymina litewskiego, żona Kazimierza królewicza. Litwinka.

WERONIKA, klucznica na dworze w Tarszku. Litwinka.

GRĄŻYNA, dworka Aldony, później żona Jana Kapusty. Litwinka.

JAGNA, dziewczyna kuchenna na dworze w Nysie. Ślązaczka.

Murzynek, siostry zakonne, klerycy, mieszczanie, zakonnicy. Asysta legata. Muzykanci Aldony. Pacholcy, ogrodniczekowie — w miarę potrzeby.

PROLOG

Miejsce: Dwór biskupi w Tarszku. Rok 1292. 28 listopada.

OSOBY:

PAWEŁ Z PRZEMANKOWA, lat 60, biskup krakowski.
DOROTA DROBOTÓWNA, lat 40, siostra klaryska ze Skrały.
NANKIER KOLDA, lat 20, ksiądz z Krakowa.
JAN MUSKATA, lat 35, kanonik krakowski, archidiakon łęczycki.
BEPPO ACCIAJUOLI, lat 30, florentyńczyk.
WERONIKA, lat 75, stara Litwinka.

Duża, niska barbarzyńska komnata we dworze biskupim w Tarszku, zawieszona częściowo kilimami. Na ścianach broń, rogi myśliwskie, kły dzików. Wielki niezgrabny krucyfiks, mały obraz Matki Boskiej (bizantyński). W kącie częściowo wiszą, częściowo leżą kozuchy baranie, skóry niedźwiedzie, rysie, piękne siodła. Na postumencie — srebrny włoski biust jakiegoś świętego, z wprawioną wewnątrz za szkłem relikwią. Kilkoro drzwi i okien. Stół — na nim światło i parę pokurczonych modlitełek w pergaminie. Flaszki, kubki, misy. Pod ścianą, gdzie wisi broń, naprzeciw widowni — szeroki tapczan zarzucony futrami. Na prawo kominiek, obok — szczapy, pieniek do rąbania drew, siekiera. Nad kominikiem — herb Półkozic. Jest jeszcze dzień. — Kiedy kurtyna się podnosi, Weronika, sucha, koścista, czarnowłosa, o zrosniętych brwiach, w chustce na głowie, paciorkach na szyi, strój półwieśniaczy, rąbie szczapy na drobniejsze. Ułożyła na kominie gotowy do podpalenia mały stos. Odkłada siekierę. Za drzwiami hałas klótni głosów męskich i warczenie psów. Nadsłuchuje. Szybko idzie do drzwi, uchyla je i woła:

Scena pierwsza.

Weronika, Beppo.

WERONIKA (akcent litewski) Jaśko, Wawrzek, Maciek, czego wy tam w sieniach?

Nie wiecie, co wasz biskup chory?! Nu, czego?

GRUBE GŁOSY (zmieszane za sceną) Ja ci tu dam. Czego się pchasz, ty, Niemcze.

Widzisz go, lezie jak do karczmy.

GŁOS (z akcentem obcym, nieco zduszony) Jestem wezwany do księdza biskupa.

WERONIKA (żywo rusza za drzwi i zaraz wciąga za sobą Beppa Acciajuol'ego) Chodźcież, panie.

BEPPO (odziany z kupiecka, modą włoską z końca XIII wieku. Okryty płaszczem.

Pod pachą sepecik czy torba, czy mieszek. Zirytowany, stawia to czy kładzie na stole, ogląda sobie nogi i poły płaszcza) Wczepiły mi się w poły jako kleszcze. Co to za dzicz, te pacholki. A te psy! Zdawałoby się, że to nie dwór biskupi, tylko jakoweś obozowisko myśliwskie. Ani marszałka dworu, ani choćby kapelana. (Weronika nieruchoma, ręce na brzuchu złożone, przypatruje się hieratycznie gościowi) U bramy same psiarczyki i sokołniki. Tfu! (zwraca się impetycznie do Weroniki) Czy nie ma tu nikogo?

WERONIKA Ja jestem jeno i służba. Ksiądz kapelan pojechał konno po księdza kanonika Muskate.

BEPPO (drgnął) Po księdza archidiakona łęczyckiego?

WERONIKA Ci on łęczycki ci nie — mnie nie wiadomo. Że on Muskata — to ja wiem pewnie. Jan.

BEPPO (uświadamia sobie obecność Weroniki. Patrzy na nią zaskoczony) A wyście kto są?

WERONIKA (zastanawia się nad sobą) Ja? Musi klucznicza, gospodyni na tym dworze.

BEPPO (dziwi się, ogląda ją) Gospodyni? Toście pewnie służka zakonna z Krakowa?

WERONIKA (rzeczowo) Ani ja służka, ani ja zakonna. Ja wolna. Ja Pawłowa niańka.

BEPPO (zastrzelony) Niańka? Pawłowa? Nie rozumiem.

WERONIKA Litwinka ja — z brańców jeszcze jego tatusiowych. Piętnastoletnia na stała do dziecka, do Pawy znaczy się.

BEPPO (osłupiały) Do Pawy? Piętnastoletnia?

WERONIKA (z pewną dumą) A piętnastoletnia. Dziś mnie lat 75. A ot dla niego sześćdziesięcioletniego znowu nianka zda się. (zasepila się) Nadto już on chory, choć i niestary. Nadto on i samotny.

BEPPPO (zaczyna rozumieć) Per Bacco! Toście wy nianka księdza biskupa krakowskiego Pawła z Przemankowa?

WERONIKA A jego właśnie samego... Pawy.

BEPPPO (zorientował się i stara się opanować sytuację) Wybaczcie, signora, żem was dotąd jak przystoi nie przywitał, anim wam nie rzekł, ktom zacz. U nas we Włoszech inaczej dwory duchownych wyglądają. Oczekiwałem, że mnie tu ktoś przywita z duchownych panów, czy rycerskiej szlachty.

WERONIKA (z prostotą) Jakimże tu być panom, skoro nasz książę Władysław pobity przez onego Wacława króla, a król — w Krakowie!

BEPPPO Wiem, wiem... Omijałem po drodze z Gniezna różne dymiące jeszcze zgłiszcza... Zdrożony jestem okrutnie, a i moi ludzie z kolaską, i konie ledwo żyją. Bądźcie łaskawi, signora, rozporządzić, by im dano spyż i opiekę... Żem też o nich zapomniał! Może ich ta dzicz przy bramie jakoś uszkodziła?

WERONIKA (życzliwie) Nic się nie bójcie, panie. Ten naród polski gruby i niawierny, ale gościnny. Już tam wasze konie obrok dostały, a i pacholki z pewnością w czeladnej piwo grzane piją. Na dworze ziałb. I wam czegoś gorącego przyniosę. (wychodzi na lewo)

Beppo obchodzi pokój i ogląda po kupiecku, drobiazgowo — broń, cmoka z podziwem, obstukuje srebrny biust z relikwią, schyla się do futer, kręci głowę. Wreszcie zbliża się do okna, odsuwa zasłonę i wygląda. Sciemniało. Wiatr zaczyna wyć i rzucać okiennicami. Beppo wstrząsa się z zimna i wraca ku stolowi. W tej chwili z głębi, zza podwoi, słychać jęk... Beppo drgnął i zastygł. Słychać serię jęków i wołanie: „Wercia, Wercia” umęczonego, niskiego głosu. Beppo idzie ku drzwiom w głębi, cofa się, wraca do stołu. Od paru chwil słychać od prawej strony dudnienie, rozruch, skrzypienie wrót, tupot, szczekanie psów. Drzwi się z rozpedem wiatru otwierają i wchodzi wpierw Jan Muskata, z nim Nankier, obaj w wielkich burkach zasypanych liśćmi i wilgotnych od deszczu. Jednocześnie z lewej strony wraca Weronika. Na tacy ma zapalone świece, dzbanek i kubki cynowe oraz talerz pierników. Jęki umilkły.

Scena druga

Ciż, Muskata i Nankier.

Muskata to mocnej kwadratowej budowy typowy ksiądz, o ogolonej różowej twarzy i niebieskich oczach. Strój ma duchowny (patrz wiek XIII), staranny, umyślnie trochę uroczysty. Dba o czystość. Mówi wolno, wyraźnie, z namysłem. Zażywny. Zamożny. Nankier ubrany raczej szkolarsko-zakowsko. Szczupły, delikatny, choć silny. Wygląda bardzo młodo. Niedobrze ogolony ani ostrzyżony, odzież byle jaka, buty od konnej jazdy zabłocone, burka również. Zwiąja ją i składa w kącie.

WERONIKA (zwraca się do Nankiera dotykając jego ramienia) Zdrożeniście i prze-moczeni. Poszłobyście włożyć suchą odzież.

NANKIER (machnął ręką na siebie. Wskazuje w głąb) Jak tam? Bałem się wielce, że nas może nie doczekać. (odchodzą oboje na bok szepcząc)

BEPPPO (z ukłonem do Muskaty) Jestem tu w drodze z Gniezna do Brugii. Przedstawiam interesa naszego domu bankierskiego we Florencji: Acciajuoli i Bardi.

MUSKATA (życzliwie) Wielcem rad. Nierazemy Ojcu Świętemu za waszym pośrednictwem przesyłali należne sumy. Ale, ale, widzę tu na stole coś na rozgrzewkę. (siadają u stołu. Weronika podchodzi i nalewa. Potem idzie do komina i zapala ogień. Oboje z Nankierem żywo szepczą u ognia spoglądając ciągle na drzwi w głębi)

BEPPPO I teraz jestem tu w tej sprawie. Kraków zdał mi się dzisiaj miejscem niepewnym. Sądziłem, że ksiądz biskup tu, na swym dworze, wręczy mi to, co ma do przesłania. Ale słyszę, że chory.

MUSKATA (poważnie) Obawiam się, mości Acciajuoli, że bardzo chory. Chodź no tu do nas (zwraca się do Nankiera, który natychmiast się zbliża i staje u stołu. Weronika zostaje na zdydłu przy ogniu), mości kapelanie... (ruch przeczący Nankiera) Wiem, wiem, że zastępujesz jego nieobecnego kapelana, niespodzianie po drodze do Krakowa przez wypadki wstrzymanego. (Nankier się uspokaja) No,

ale wolno mi cię tak tytułować. Powiedz nam, chłopcze, dokładnie... ale siadajże i napij się grzanego wina, bo cię febra schwyci... (*Nankier siada, ale nie pije i ciągle uważa na drzwi w głębi*) Powiedz nam, czy od dawna przewielebny ksiądz biskup słabuje? Także mnie porwał ze sobą z gościny w sąsiedztwie, żem się nawet dobrze o to nie rozpytał na tej wichurze. Sądziłem, że umiera.

WERONIKA (*ze swego zydła zawodząco*) Oj, umiera on, umiera, po kilka razy na dzień umiera, umrzeć nie może. (*zasłania twarz fartuchem*)

MUSKATA (*obejrzał się karcąco, ale dał pokój. Do Nankiera półgłosem*) Sługa? (*Nankier potrząsa głową*) Uboga krewna? (*Nankier milczy*) No, więc gadaj.

NANKIER (*głosem drżącym ze wzruszenia*) Straszne cierpi bóle. Serce krwią spływa patrząc na jego mękę. Kamienie ma we wnętrznościach, którym upustu nie masz. Cyrulik, który go już raz kiedyś krajał, mówi, że mu już nic nie pomoże...

WERONIKA (*ze swego zydła zawodząco*) I okadzałam go ziołami, i węgle na wodę puszczałam, i święte węże do komnaty przyniosłam, i nic nie pomogło... (*zarzuca fartuch na głowę*)

MUSKATA (*obejrzał się z niesmakiem. Beppo jest poruszony i współczujący. Nankier błędnie i chce podejść do Weroniki, ale Muskata go powstrzymuje za ramię*) Ostaw ją. Niech się wyżali. Nie wiesz, chłopcze, ma li tu ksiądz biskup, tu łwe dworze, one sumy dla Ojca Świętego? Jeśli ma, trza je zebrać i wręczyć signorowi Acciajuolemu.

NANKIER Wiem o tym, ksiądz kapelan zostawił tu i spisy, i cały skarb, zabrany z Krakowa w obawie jakowego najścia. Ksiądz biskup oczekiwał signora włoskiego i kazał mieć to w pogotowiu, a zbrojnym pachotkom odprowadzić potem signora dokąd rozkaże.

BEPPA (*zadowolony*) Do Wrocławia.

MUSKATA (*rozpromienia się*) Ach, Wrocław...

BEPPA Wasza wielębność stamtąd rodem?

MUSKATA Stamtąd zaiste... W waszych cudnych Włoszech, w Bolonim, na magistra się kształcił, pod cyprysami, które do kolumn podobne są, siadywałem z książką, słońce wasze mnie grzało zgoła inaczej niż tutejsze, alem nigdy mojego Wrocławia nie przepomniał.

BEPPA (*z rezerwą*) Godne miasto. Ludzie jeno jacyś nadto już twardzi. Słyszałem, że według ich prawa za łada delictum ogniem palą, żywcem zamurują, albo topią, i to nie tylko mężczyzn, ale niewiasty i działki nieletnie...

MUSKATA (*przerzywa*) Na dziłość i twardość tylko takie prawa coś zdziałać zdolą. Dokąd się tam nie zadowoliło niemieckie mieszczaństwo i rycerstwo ze swoim prawem — dzicz tam jeno była, pół pogańska i bezeczna, dzicz i samowola.

NANKIER (*stanowczo choć ze czcią*) Stryjku Janie... niesprawiedliwiście... Ociec się z wami zawsze o to spierał i ja będę.

MUSKATA (*życzliwie*) Spieraj się, spieraj, aż sam się przekonasz... Pókiś młody, miód jeno sam spijasz z życia: wiedzę, wszelką duchowną naukę wchłaniasz, i każdy ci rad młodemu. Zobaczysz, jak dorosniesz, co to za kraj, w którym się urodziłeś. Książąt w nim na kopy, a każdy drugiego rad by w tyżce wody utopii. Wszystko to słabe, więc się nic nigdy ustalić nie może.

NANKIER Okrzepnie, jeno trza wierzyć i miłować.

MUSKATA (*machnął ręką*) Co ci po tym? Tyś Ślązak jako i ja. Śląsk chce zażywać pokoju, a pokój zdobyć można tylko u boku silniejszego. Sam Pan Bóg zesłał nam tutaj teraz onego czeskiego Wacława...

NANKIER Stryjku Janie... To grzech.

MUSKATA (*zirytowany*) Szczeniakęś jeszcze! Poczekaj — inaczej zaśpiewasz. (*do Beppa*) No, ale my tu gadu gadu, a signor Acciajuoli pewnie rad by do tego spisu się dobrać, a potem i na spoczynek udać się przed długą drogą.

BEPPA Wielcem wdzięczny, ale chociaż i nocą wolę wyruszyć od razu. W kolebce nieźle przespać się można, a droga długa. Wybaczcie.

MUSKATA Dam tedy waszności pismo polecające do mych przyjaciół, a tbrocę i krewniaków, we Wrocławiu. Dom von Bantschów na pewno gościnnie was przyjmie i dalszą drogę do Brugii ułatwi. (*sięga po inkaust i pióro na stole, dobywa karteluszka z zanadru i zasiada do pisania. Beppo skłonił się. Wychodzi z Nankierem*)

Scena trzecia

Muskata i Weronika

MUSKATA (*pisze, głośno sobie zdania przepowiadając*)... Włoch ów jest całkowicie godnym zaufania i mnie dobrze znanym człowiekiem, z którym, jako papieski od roku 1284 kolektor, często miewałem styczność... (*pisze dalej. Z głębi jęk*)

WERONIKA (*drgnęła, wstaje, nadśluchuje, siada znowu*)

MUSKATA (*czujny na jęk, nie przestaje pisać, ale oczekuje jakiegoś ruchu ze strony Weroniki. Nie odwracając się*) I cóż moja dobra kobieto?...

WERONIKA (*nieprzychylnie*) A nic.

MUSKATA Nie idźcie do chorego.

WERONIKA (*nieprzychylnie*) A nie. Aż zawoła, bo nieraz przez sen tylko jęczy. A jak rozbudzić, gorzej mu.

MUSKATA I tak sam leży?

WERONIKA A sam. Nikogo kole siebie nie zniesie, tylko za drzwiami są my zawsze: ksiądz Kołda albo ja. Jakby co — to się jeszcze kogo zawoła. Jest tam dosyć czeladzi.

MUSKATA Czemuż to tak?

WERONIKA (*w zadumie*) Musi — co innego on widzi niż my wszystkie. Z duchami musi już rozmawia. Różne pobite wspomina. Ludzi i zwierzyzna.

MUSKATA (*zaskoczony*) Bójcie się Boga, kobieto! Jak to, ludzi i zwierzyinę?

WERONIKA A no — u wielkich panów na sumieniu różności bywają; i ludzie, i wilki.

MUSKATA (*zgorszony wstaje, składa list*) Co ty wypłacasz kobieto? Wilka zabić — zbrojny uczynek.

WERONIKA Ja, wiadomo, niauczona baba... Alić słyszałam sama, jak ON (*wskazuje w głąb*) z wilkiem jakimś rozmawia i różne jemu tłumaczy.

MUSKATA (*żegna się pobożnie*) W imię Ojca i Syna. Czyś ty, kobieto chrześcijanką?

WERONIKA (*wstaje, wyprostowuje się groźna. Jest wyższa od Muskaty*) Ja — Lilitwinka... (*słychać jęk i wołanie: „Wercia, Wercia”*). Weronika urywa i znika za drzwiami. Słychać głuchą, przerywaną jękami, rozmowę. Muskata wzburzony nadśluchuje chwilę. Weronika otwiera drzwi tak, że widać mrok i w głębi na lewo słabutkie światło za kotarą) Proszę bliżej.

Muskata wchodzi i zamyka drzwi. Weronika zostaje. Jednocześnie wchodzi Nankier i Beppo z prawej strony.

Scena czwarta

Weronika, Nankier, Beppo.

BEPPO Dziękuję księdzu kapelanowi. Wszystko w najlepszym porządku. (*bierze swój płaszcz*) Proszę, gdy wasza mość znajdzie się na nauce w Bolonii, nie zapomnieć i nas we Florencji odwiedzić. (*chowa spory pakiet do sepeciku*)

NANKIER (*sposprzeżenie nieobecności Muskaty i jest przejęty. Z roztargnieniem*) Nie omieszkam, naprawdę nie omieszkam. Teraz odprowadzę waszmości do bramy i wyznaczę się pacholków ku asyście. (*obraca się ku Weronice chcąc ją o coś zapytać*)

W tej chwili we drzwi wsuwa się, nie spostrzeżona prawie przez Nankiera, siostra Dorota. Przy wyprowadzaniu Beppa, który grzecznie kłania się Weronice, jej wejście na nikim nie robi wrażenia; jakby cień wszedł. Bytność jakiejś siostry na dworze biskupim nie jest niczym dziwnym.

Scena piąta

Dorota, Weronika.

Słychać wycie wiatru. Deszcz bije w szyby. Okiennice stukają. Szczekanie psów.

DOROTA (*jest w jakiejś mokrej płachcie. Ocieka wodą. Obuwie jej — grube sandały — jest jedynym zlepkiem błota. Odrzuca zwierzęcą płachtę. Ukazuje się w stroju klaryski z XIII wieku*) Czy można podejść do ognia, niani?!

WERONIKA (*zaskoczona*) A toż kto taki? Ale chodź bliżej, chodź... Osusz się, biedoto. Co to, pątniczka, musi?... W taki czas! (*podchodzi, żeby rozwinąć trochę przybyłą z mokrych galganów. Ściąga bezkształtną masę zakonnego kwefu i roz-*

wiesza na szczapach. Odwraca się i widzi cudownie piękną twarz siostry Doroty. Plasnęła w ręce O wielki Perkunie! Dosia! (obejmuje ją i ściska, głaszcząc po twarzy) Dziecko nasze nieszczerne. Po tylu latach i w taka godzina!

DOROTA (bez tchu) Żyjeż on?

WERONIKA (przez łzy) Książd u niego. Musi spowiada się, ci jak. Ale gdzie ty, serce, była? My za tobą... On za tobą... Pawa mój... Ani go nie poznasz. Dziś to starzec. Kiedy ty odeszła, zapamiętał się, zapiekl w sobie. Zasyje się, bywało, w lasy, zawieruszy się — bije zwierza tak, jak biłby tych, co ciebie od niego odmówili — wtedy. Dokąd ty poszła? Z kim? Jak ty uciekła z Łagowa? (siada i pociąga ją ku ogniowi na pieńki)

DOROTA (cicho) Byłam w grzechu. On przeze mnie był w grzechu... Ukazała mi się matka nasza, Salomea, i wyprowadziła... Nawet pies nie zaszczekał... Uszłam daleko, dobrzy ludzie zawieźli do Wrocławia, do sióstr naszych... Tam dano mi osobną celę, zamurowano...

WERONIKA (ze zgrozą) Ach, oni nieczyste! Zamurowali?!

DOROTA (żywo) Nie, nie... To ja sama prosiłam, bo inaczej bym do was uciekła. Nie było mi źle... Nie... I tylko na lat pięć. Potem już tak zostałam, jak inne.

WERONIKA Szesnaście lat ty bez nas wytrzymała, serce, i nie wstyd tobie?... Siebie męczyć... Jego męczyć... Toż ciebie i po rzece my szukali, i w jeziorze niewodem za tobą łowili... I po całej krakowskiej i sandomierskiej ziemi gońców posyłali ciebie przyprowadzić...

DOROTA Nianiu... Tak było potrzeba... To był grzech, straszny grzech. Biskup winien być czysty. Mniską byłam poświęconą Bogu.

WERONIKA Czysty! A wiesz ty, że on przez to od Boga waszego odpadł, do ołtarzy waszych modlił się przestał... Przez ciebie do buntów się przylączył, ziemie pustoszył, ludzi niewinnych gubił. Trzy razy go przez ciebie więzili, po zamkach, po lochach książęcych. Przez ciebie on własną ręką człowieka zabił.

DOROTA Jezus Maria. Jak to?!

WERONIKA (bierze kwiefy Doroty, prostuje je i wygładza) Mojemu na polowaniu trzasła gałąź pod nogą... To zezłuił się, zapamiętał i rohatyną go raz tylko i — po nim. Com ja się wtedy napłakała!

DOROTA Nianiu... Jakże to... I nie rzuciłaś tego domu?

WERONIKA Ja?! Przecie ja go od małego chowała. Wilczek z niego zawsze był i wilkiem dorósł... Tyś go jedna oblaskawić mogła. A tyś go rzuciła... To przez ciebie. Jak umrze — pójdę.

DOROTA Jak umrze... O Chryste! (kryje twarz w sukni Weroniki)

WERONIKA (rozprostowała kwiefy) Placz, niebożę, do twego Chrystusa „placz... Słyszę zawsze: dobry on, nie taki jak inni panowie. (osłania głowę Doroty kwiefami)

Wstań, wstań, toż na tobie wszystko pomięte. Chodź ze mną, serce, chodź i spocznij.

NANKIER (wchodzi, spostrzega siostrę) Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

DOROTA (w ukłonie, cicho) Amen.

Wychodzą obie z Weroniką na lewo.

Scena szósta

Nankier, Paweł, Muskata

Nankier chwilę sam. Deszcz, wiatr. Okiennice. Słysząc burzliwe głosy z głębi. Nadśluchuje. Zbliża się do drzwi. Cofa się. Rzuca okiem na krucyfiks, pochyła głowę, skupia się, zapewne się modli. Głos woła z jękiem z głębi „Wercia, Wercia“. Jakiś rumor i jęk blisko. Nankier biegnie i otwiera drzwi na oścież. Wsparci o uszaki z obu stron, strasznie wychudły, staję wspaniały, niezbyt stary wielmoża. Ubranie pańskie z XIII—XIV w. Piękne soczyste kolory. Łańcuch, pierścień biskupi. Zza niego widać zażenowanego i zirytowanego, czerwonego na twarzy Muskate.

PAWEŁ (w furii) Wyrzucić mi tego przeniewiercę! Gdzie Weronika?

NANKIER (troskliwie podchwytuje chwiejącego się Pawła) Niech się wasza miłość na mnie mocno oprze! Ot tak. (zachęcająco) Jeszcze krok i dojdziemy do tapczana. (opuszcza białego z bólu chorego na postanie z futer na lewo. Jęk i już chory wsparł się na poduszkach. Siedzi oparty o ścianę. Do Muskaty stojącego w drzwiach) Wasza wielbność, stryjku, zechciejcie usiąść za stołem.

PAWEŁ (*wściekły, ale zabawiony*) Udanego masz, mości Kołdo, stryja! Skąd ci taka parantela? (*jęk*)

NANKIER (*z prostotą*) Ojciec mój Imbram i ksiądz kanonik Muskata z dawien dawna się przyjaźnią. Jemu to zawdzięczam szybki awans i perspektywę wyjazdu na naukę do Bolonii. Wszyscyśmy — Ślązacy.

MUSKATA (*rad z dywersji siada za stołem, ale czujnie, na brzeжку zydlu*) Nie mnie, nie mnie, chłopcze, ale własnej pilności i cnocie wszystko zawdzięczasz.

PAWEŁ (*nieco ulagodzony*) A toś mi spowiednika, który by mnie na śmierć dysponował, wynalazł, daj cię katu! Do większych mnie tylko grzechów przywiedzie ten diabeł wcielony.

NANKIER (*z prostotą*) Nikogom z proboszczów w sąsiedztwie nie zastał. W lasach pochowani czasu zamieszek siedzą; bałliby się nawet stamtąd ruszyć. Stryjek, przypadkiem wczoraj przeze mnie napotkany u jednego szlachcica, wnet się jechać zgodził, więcem go przywiózł do waszej miłości. (*całuje Pawła w pierścień*)

PAWEŁ (*udobruhany, ale zaczepny*) A wiesz ty, dlaczego ten twój stryjek „czasu zamieszek” jeździć się nie lęka? Bo zaprzedał się Czechom i Niemcom. Wacław — w Krakowie, tedy mieszczenie krakowscy i Jan Muskata, i inni zdrajcy — radzi jak żaby w błocie. Niedługo waszej radości. Przyjdą tacy, co i Wacława i jego popleczników wymietą stąd jak psie łajno. (*kończy jękiem, błednie i zamyka oczy*).

MUSKATA (*w strachu, ale zły*) Wasza przewielebność wybaczyć raczy... Wraz z królem czeskim, zaprzyjaźnionym z cesarzem rzymskim, wielkie dary spłynąć mogą na te nieszczęsne ziemie, szarpane niezgodą: pokój, dobrobyt, oświecenie, łagodniejsze prawa, większa swoboda Kościoła.

PAWEŁ (*słabo, ale wyraźnie*) Znam ja tę piosenkę... Śpiewali ją Leszek Czarny ze swoją Gryfiną, z Krakowa czyniąc gród niemiecki. Zarażeni tą chorobą — wszyscy nieomal Piastowicze Śląscy. Myślisz, i może uczciwie myślisz, panie bracie, że spokój, że dobrobyt, że oświecenie... Tylko, że to będzie niemiecki spokój i dobrobyt. Jać ich rytterom i baurom cnót różnych nie ujmuję, tylko że nas zjedzą oni, jak krowa żera trawę. Szanować ich można, jeno trzeba ich precz wyżenać, a ich popleczników tępić jak robactwo. (*ciężko dyszy i opada na posłanie*)

MUSKATA (*zły*) Robactwo!... A moim zdaniem ten bardziej winien, kto na kraj chrześcijański pogan paskudnych naprowadza, kto Litwinów, Jadzwingów i Ruś z Tatarami rał polskiemu rycerstwu przeciw krakowskiemu i sieradzkiemu prawowitemu księciu...

PAWEŁ (*w bezzsilnej furii*) ...Ja ci. Ja... Ja... Precz stąd... (*jęczy. Sięga po broń. Ręka mu opada*)

NANKIER (*przeżaszony*) Wasza miłość... Stryjku Janie. Odprowadzę was do gościnnych komnat. Tam spoczniecie do jutra. Teraz jego przewielebność nazbyt cierpi.

MUSKATA (*wściekły*) To jam tu nazbyt wiele już ścierpiał i więcej nie ścierpię. Każ mi, chłopcze, podać kolasę. Nic tu po mnie. (*owija się w płaszcz*)

NANKIER (*z cicha*) Ależ wiatyk! Przecie widzicie, że dogasa... Hostie mamy w kaplicy poświęcone.

MUSKATA Jeszcze sił ma aż nadto dosyć. Jestem w pobliżu. Możecie rano po mnie przysłać. Nocował pod tym dachem nie będę. (*wychodzi z Nankierem ekspostulującym*)

Scena siódma

Wsuwa się Weronika, za nią Dorota, która pozostaje klęcząco za stołem ukrywającym ją od Pawła.

WERONIKA (*podchodzi i siada przy łóżu*) Zmęczyli panicza i poszli.

PAWEŁ (*ledwo żywy*) Zmęczyli i poszli. Daj dryjakiew.

WERONIKA (*nalewa z flaszki na stole do kubka i podaje*)

PAWEŁ (*z jękiem. Pot na czoło mu występuje*) Jak ciężko jest umierać...

WERONIKA (*filozoficznie, ocierając mu czoło*) Panom ciężko umierać, nam ciężko żyć.

PAWEŁ (*gorzko*) A chciałem się pogodzić z Bogiem... chciałem...

WERONIKA (*czule*) Nadto zawsze mój Pawa wojować lubi, to pewne.

PAWEŁ Wercia tego nie zrozumie...

WERONIKA (*czule*) Wiadomo! Ale tu jest ktoś, kto zrozumie. (*przyprowadza Dorotę, która klęka przy łóżku*) Siostra zakonna.

PAWEŁ (*oczy zamknięte*) Była kiedyś taka za młodych moich lat. (*jęk*) Grzesznym był, żem ją porwał i grzeszny — żem ją stracił. Dosiu, Dorotko, siostró Doroto!...

DOROTA (*cicho*) Jestem przy waszej miłości.

PAWEŁ (*oczy zamknięte*) Zawsze mi się tylko jawiają: bitwa, krew, kajdany, ucieczka, pogoń i wilk z krwawą paszczką. Ale żeby teraz w ostatniej godzinie — ona... O Jezu...

DOROTA (*cicho*) Jestem tutaj.

PAWEŁ (*z jękiem i westchnieniem, oczy zamknięte*) Pozostań więc. Nie otworzę oczu aż do śmierci, byś ty nie znikła — jak wtedy. (*Nankier wchodzi cicho i zatrzymuje się, Weronika ociera łzy*)

DOROTA Pokutowałam z dala od ciebie szesnaście lat i Bóg mi przebaczył.

PAWEŁ (*oczy zamknięte, miękko*) Grzeszyłem z dala od ciebie i Bóg mi nie przebaczył.

DOROTA Zamurowana byłam lat pięć w celi.

PAWEŁ (*ciszej, urywanie*) W samowoli żyłem, zdradzałem Boga i mój urząd kapłański... (*Nankier wydobywa stulę, wkłada ją i zaczyna słuchać „spowiedzi” Pawła*)

Pijanica byłem podłym, niewoliłem dziewczki i ciemniżyłem służbę... Nienawidziłem wrogów, mściłem się krzywd. (*Weronika zapala gromnicę*)

DOROTA Modliłam się za ciebie dzień i noc przez lat szesnaście.

PAWEŁ (*zupełnie cicho*) W obżarstwie, w rozpuście, w bluźnierstwie.... O Jezu miłosierny... Ja niegodny.

Nankier słucha go w stule, gotów dać absolicję. Weronika cicho szlocha, Dorota bije się w piersi klęcząc. Paweł spowiada się głośno dalej w czasie, gdy kurtyna zapada.

A K T I

Miejsce: Wrocław. Lato. Rok 1327.

OSOBY:

BEPPO ACCIAJUOLI, lat 65, bankier florencki. Włoch.

BISKUP NANKIER, lat 55, świeżo erygowany z Krakowa do Wrocławia.

ALDONA GIEDYMINÓWNA, lat 17, żona królewicza Kazimierza, następcy Lokietkowego. Litwinka.

GRAŻYNA, lat 16, dworka Aldony. Litwinka.

PIOTR Z AUVERGNE, lat 40, legat kolektor papieski, Francuz.

MIKOŁAJ VON BANTSCH, lat 50, kanonik wrocławski, minister Henryka VI, wrocławski kierownik kapituły. Niemiec. Ślązak.

PIOTR Z BYTKOWA, lat 50, kanonik Polak. Ślązak.

HENRYK Z WIERZBNA, lat 35, kanonik Polak. Ślązak.

JAN KAPUSTA, lat 25, czeladnik szewski, Polak. Ślązak.

ARNOLD VON PROTZAN, lat 50, kanonik w kancelarii biskupiej. Niemiec. Ślązak.

KONRAD VON LOSLAU, lat, 35, augustianin, kuchmistrz. Niemiec. Ślązak.

Mieszczanie, klerycy, zakonnicy, orszak francuski legata, Murzynek, fletniści i lutniści Aldony.

Wielka mroczna komnata rezydencji biskupiej: ni to sień, ni to antyszambur; na prawo schody. Przez okno na lewo widać część portalu katedry. Jest czysto i dość sztywno ale „kulturalnie”. Parę gotyckich obrazów szkoły śląskiej. Półki z książkami. Wiele zydów. Parę stołów. Jakiś pulpit. Bardzo niemiecki krucyfiks nade drzwiami wejściowymi na prawo. W tym miejscu są stopnie w dół i dopiero — drzwi. Na lewo, między lewymi drzwiami a oknem, wisi parę instrumentów muzycznych z epoki albo stoi jakiś szpinet, czy coś. Jest i trochę broni.

Scena chwilę pusta, słychać dalekie dzwony, wiele dzwonów. Schodzi schodami z prawej strony ubrana w strój rusko-litewski z XIV w., pactorki, warkocze — Grażynka.

Scena pierwsza

Grażynka. Kapusta.

GRAŻYNKA (*staje, patrzy, opuszcza ręce, zaczyna nucić*)

Ci ja na polu nie kalina była?

Ci ja na polu nie jedyna była?...

(urywa, bo słycać ciężkie, szybkie kroki z lewej strony, jak by ktoś szedł korytarzem. Stuka i jednocześnie wchodzi bardzo urodziwy młody szewc, Kapusta, na rękę ma nanizane kilka par solidnego obuwia z epoki. Staje olśniony)

KAPUSTA Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

GRAŻYNKA (zmieszana) Niech będzie...

KAPUSTA (zdziwiony i zachwycony) Waszmościanka nie tutejsza?... Należy się powiedzieć „Amen”.

GRAŻYNKA (wstydzi się) Nie, nie tutejsza, ale powitanie ono znam. Tylko nieraz zapomnę.

KAPUSTA (zachwycony i zaniepokojony) Ja zaraz, ino (pokazuje obfitość obuwia) skoczę tam dalej, do czeladnej, i pooddaję. (wybiega na prawo w dół)

Grażynka obraca się jak urzeczona za nim.

KAPUSTA (wraca biegiem. Po drodze trochę się opanował) Jak wam na imię?

GRAŻYNKA (szeptem. Wstydzi się) Grażynka... A... a... waćpanu?

KAPUSTA (ze śmiechem) Jaki ja waćpan! Przecie widzieliście od razu, że szewc. (z dumą) Czeladnik wyzwolony, a jakże, u mego tatula, Walentego Kapusty, na Trzebnickiej. A mnie na chrście świętym dano imię Jan.

GRAŻYNKA (trochę zawiedziona) To asan... waćpan... toście także chrzczeni?

KAPUSTA (zastrzelony) Czy chrzczony?... W imię Ojca i Syna, dziewczyno! A możeś ty z brańców jakowych?

GRAŻYNKA (zbiera się jej na płacz) Oj, z brańców my, z brańców. (opuszcza głowę, siada na schodach i skubie fartuszek)

KAPUSTA (z łatwym polskim współczuciem) Nie masz czego płakać... Wykupią cię swoi...

GRAŻYNKA Oj, nie wykupią... Sami nas z kniaziówną sprzedali.

KAPUSTA (ze zgrozą) Bój się Boga! Swoi? Sprzedali! Komu?

GRAŻYNKA (tępo) Królowi waszemu Władysławowi dla królewicza Kazimierza.

KAPUSTA Być nie może...

Scena druga

Ciż i — Henryk z Wierzbna, strój raczej rycerski oraz Arnold von Protzan, strój duchowny. Wchodzą z dołu z prawej strony.

ARNOLD (kończąc zaczęte zdanie) ...nie może być spodziewany tymi dniami.

HENRYK Są wszelako jakoweś wieści, że książę biskup Nankier już jest na Śląsku.

Grażynka przeszła w lewo i zdjęła ze ściany jeden z instrumentów. Brząka na nim. Widać, że już spotkała uprzednio Arnolda, bo kłania się tylko Henrykowi. Ten ocenia ją spojrzeniem znawcy. Kapusta patrzy wyzywająco na Henryka.

HENRYK (do Kapusty szorstko) Czego tu chcesz?

ARNOLD (dobrotliwie) Ostawcie go, wasza wielbność. To nasz majster go przysłał z obuwem panów kanoników. (do Kapusty) Prawda?

KAPUSTA (sucho) Prawda, wasza wielbność. Właśnie czekam tu na zapłatę. Nie masz nikogo w kancelarii.

ARNOLD (ze zrozumieniem) To się wie, to się wie... Ale teraz już tam ktoś jest i wyplaty się zaczęły. Pójdźże, mości Kapusta, po swoją. I Bóg ci zapłać za fatygę.

Kapusta obejrzał się nieznacznie na Grażynkę. Wychodzi

HENRYK (trąca Arnolda i wskazuje na Grażynkę) Kto ona zacz?

ARNOLD (cicho ale rzeczowo) Dworka królewiczowej Kazimierzowej, która tu na biskupim dworze stanęła i tak, jako i my, na jego dostojność z upragnieniem czeka.

HENRYK (lekko) Z barbarzyńskich krajów król sobie synową upodobał.

(Grażynka dosłyszała, drgnęła, poczerwieniała i wybiegła w górę na prawo)

ARNOLD (życzliwie) Wdzięczna to młoda pani. Nasz biskup ją, krakowskim jeszcze będąc biskupem, w wierze świętej utwierdził, ochrzcił i ślub młodym dawał.

HENRYK Jakoż się to dzieje, że księżna sama tutaj bawi?

Wchodzą Mikołaj von Bantsch i Beppo Acciajuoli.

Scena trzecia

Mikołaj Beppo, Henryk, Arnold. Mikołaj piękny, godny, postawny, rasowy, ale zadufany w sobie i ociężały. Posiada wysokiego gatunku przebiegłość i prosty, utylitarny rozum. Beppo szpakowaty, ale żywy i ludzki, jak przed laty, choć do-
stojniejszy.

MIKOŁAJ (dźwięcznie) Dobry dzień, wasze wielbności.

BEPPO (bez uniżenia) Sługa i podnózek, przezacni mężowie Kościoła. (Henryk skłonił się)

ARNOLD Laudetur... (przerywa i z żywością podchodzi do Beppu) Signor Acciajuoli...

Co za niespodzianka... Kopę lat... Kopę lat... Wszak pamięta wasze...

BEPPO (uradowany) Jakże bym mógł zapomnieć... Zaszczycem dla mego domu było gościć u siebie młodych scholarów z Bolonii, przyszłych luminarzy Kościoła.

MIKOŁAJ (nieco ironicznie) Luminarze Kościoła nie tylko w Bolonii się kształcą, signor Acciajuoli!

BEPPO (uległe) Si, si, excelentissime signore... Ależ oczywiście.

MIKOŁAJ (do Henryka) Wiesz, księże kanoniku, że signor Acciajuoli przywozi nam ważne nowiny. Dawno oczekiwany biskup wrocławski Nankier łada chwila tu przybędzie. Pogłoski o jego bytności na Śląsku sprawdzają się. Signor widział go przed tygodniem.

HENRYK (żywo) To naprawdę bardzo ważne. Siedem lat bez biskupa to nie fraszka. Rozbisurmaniliśmy się nie na żarty. Ciekawym, jaki on też jest, ten Nankier?

BEPPO (poważnie) Widziałem go raz pierwszy 35 lat temu!

MIKOŁAJ Tyleż lat temu byliście po raz pierwszy w naszym domu we Wrocławiu z listem od Jana Muskaty, naszego powinowatego. Miałem wtedy piętnaście lat.

BEPPO W takim razie i jego przewielebność biskup Nankier jest powinowatym waszej miłości? Pamiętam jak dziś, że mówił do archidiacona Muskaty: stryjkun...

ARNOLD (dobroduszenie) Wszyscyśmy dzieci Boże, signor Acciajuoli, a więc krewni. Ale gdzieżecie naszego Nankiera zdybali?

BEPPO W przejeździe przez Kamień, małą osadę nad rzeką Brynicą.

ARNOLD Tak, tak... On stamtąd rodem...

BEPPO Tam się zatrzymał, by sędziwego Imbrama Kołde, ojca swego, nawiedzić i mogiłę matki o błogosławieństwo prosić. Tamem go ostawił. Wnet tu być musi.

HENRYK A waszmość tu do nas z czym?

BEPPO (patrzy na Mikołaja) Ja — do nuncjusza kolektora we Wrocławiu od nuncjusza kolektora w Krakowie. Przez nasz dom przechodzą dla Ojca Świętego zebrane tutaj sumy. A że jego miłość legat Piotr z Auvergne, a także konfrater jego Andrzej z Weroli uważają, iż kupcy polscy to homines incerti et nihil servant de promissis...

MIKOŁAJ (żywo) Co to — to prawda.

HENRYK (nieco urażony) Może Niemcy łepsi!

MIKOŁAJ (rzeczowo) Czy lepsi — nie wiem, ale pewniejsi. Zresztą sam wiesz, księże kanoniku, żeś ty, ty właśnie, w najwyższym stopniu incertus. (klepie go po ramieniu) No, no nie gniewaj się, ale jeśli wasz Nankier z ciebie wzór duchownego potrafi zrobić, pozbędzie się moich uprzedzeń do tej polskiej nominacji.

Dzwonią znowu dzwony, ale bliskie. Z prawej strony słychać zbliżanie się kilku ludzi i ze schodów schodzą Piotr z Auvergne z orszakiem paru mnichów i sług cudzoziemskich. (ubranie raczej rycerskie niż duchowne) Są lekko uzbrojeni. Za nimi postępuje Piotr z Bytkowa w stroju oficjalnym kanonika i Konrad von Loslau, augustianin, w habicie i trepach, ze słoikiem jakimś w ręku (trzeba pamiętać że Piotr z Auvergne i jego słudzy — to Francuzi i że to wiek XIV)

Scena czwarta

Arnold, Henryk, Mikołaj, Beppo, Piotr z Auvergne, Piotr z Bytkowa, Konrad i figuranci. (figuranci tkwią raczej w przejściu z korytarza czy ganku na schodkach i to ukazują się, to nikną. Może ich być 3—5 sztuk) Piotr z Auvergne i Piotr z Bytkowa oraz Konrad zatrzymują się chwilę na stopniach. Ci z dotu patrzą ku nim z rozmaitym wyrazem twarzy.

PIOTR Z AUVERGNE Witajcie, messeigneurs. (jest wysoki, szczupły, przypomina drapieżnego ptaka. Ręce ma krogulcze, cerę żółtą, wzrok ostry, ruchy gwałtowne. Ci na dole kłaniają się, Piotr ciągnie dalej rozmowę z Konradem. Ten — okrągłutki, bardzo bystry, różowy. Z ruchów widać, że kolosalnie zrównoważony. Strój augustiański z XIV w.) Mon père, chodzi o to, żeby te kapary wspanać we właściwym momencie, kiedy baranina...

KONRAD (podchwytując żwawo) ...pocznie już wydzielać sok. Wiem, monseigneur, wiem. Na pewno dopilnuję. (chce się cofnąć)

PIOTR Z AUVERGNE A polewka, mon père... żeby odrobinę soku pomarańczowego dodać tuż przed podaniem. Sibi — podaj wielebnemu ojcu ze cztery pomarańcze. (tupot i Murzynek podaje w obu dłoniach cztery pomarańcze Konradowi. Piotr z Bytkowa coś dowodzi po cichu)

MIKOŁAJ (do Arnolda z pogardliwym wzruszeniem ramion) To ma być legat!

BEPPA (do Henryka z podziwem) Ten się zna! To smakosz.

KONRAD (chce przebiec scenę ku drzwiom na lewo) Zrozumiałem, wasza miłość.

MIKOŁAJ (zatrzymuje go po drodze) Co tu robisz? Jak ci nie wstyd?

KONRAD (żywo) Wypożyczono mnie z klasztoru tu do was. Po błogosławieństwie ma być uroczysty posiłek. Żegnaj, wasza miłość. (wybiega)

PIOTR Z AUVERGNE (schodząc ze schodków opęda się zirytowany od Piotra z Bytkowa) Darmo mnie, księże kanoniku, przekonać usiłujesz.

PIOTR Z BYTKOWA Racz jednak, wasza miłość zważyć...

PIOTR Z AUVERGNE Nie jestem tchórzem. Zresztą, te opasłe niemieckie wieprze na bezbronnych jeno napadać zwykli, a jam (pokazuje drucianą koszulkę i sztylet za pasem) przygotowany i (pokazuje orszak) — nie sam.

ARNOLD (zyczliwie) Wasza miłość na jakąś wyprawę się szykuje?

PIOTR Z AUVERGNE (ostro) Nie na wyprawę, jeno do kościoła św. Krzyża na modlitwę. U was i na modlitwę, jak na wyprawę przeciw pogańskim Prusom, zbrojnie iść trzeba.

MIKOŁAJ (z głęboką urazą) Nikt — jeno wasza miłość — nie jest tego o nas zdania. Żaden z naszych cudzoziemskich konfratrów tak się miastu naszemu nie naraził, jak to uczyniłeś wasza miłość — zbierając świętopietrze w ciągu ostatniego roku. (Beppo usuwa się w najdalszy kąt, żeby zejść z oczu klóącym się, ale to go właśnie zdradza)

PIOTR Z AUVERGNE (do Beppa) A, signore Acciajuoli! W samą porę. Ty mi przyświadcysz. Ileś to razy odbywał — ty, albo inny wystaniec z Florencji, tę daleką podróż na darmo, bo złamanego nawet denara ten przeklęty śląski kraj Stolicy Apostolskiej nie dał. No, gadaj wasze.

BEPPA (układnie, ale trochę chętliwie) Żadna podróż dla zycznego bankiera nie jest bezowocna, wasza miłość. Na naszych obrotach kręci się świat...

MIKOŁAJ (zaczepnie) Nigdzie na świecie nie ma chyba takiej ilości panujących na tak niewielkiej przestrzeni, jak tu, u nas, na Śląsku. Nie jeden tedy Wrocław opiera się niesłusznym roszczeniom waszej miłości, ale wszystkie niemal księstwa śląskie, dziś po większej części szczęśliwie zholdowane najmiłościwшему królowi Janowi Luksemburgowi...

PIOTR Z AUVERGNE (przerywa) Niesłuszne? Nie moje to roszczenia, ale Stolicy Świętej, której wysłańcem jestem. Nic — tylko zaległości, wykrety i spłaty bezwartościowymi denarami tam, gdzie miejsce polskiej ludności tu od wieków osiadłe zajmują przybywający z zachodu Niemcy.

PIOTR Z BYTKOWA (cicho) Jest w tym wiele prawdy, wasza miłość, zważcie jednak, że i książę wrocławski Henryk, i król Jan, i znakomity nasz konfrater von Bantsch są śląskimi Niemcami, i nie raczcie się tak unosić.

PIOTR Z AUVERGNE (wściekły) Unosić się?! Kto rycerski — ten unosi się na widok nieprawości. Wypychają was Polaków, poniewierają wami, pogardzają... Pełno ich na waszych ledwo wystygłych miejscach, a z was każdy kuli się tylko i uważa, by wroga nie drażnić!

MIKOŁAJ (wali pięścią w stół) Hamuj się, wasza miłość, bom zapomnieć gotów, żeście nasz gość, gość kapituły.

PIOTR Z AUVERNE Nie kapituły, jeno biskupa wrocławskiego, Nankiera, w jego domu.

MIKOŁAJ Jam administratorem tej diecezji zanim biskup się zjawi, by ją objąć.

PIOTR Z AUVERGNE A jam mocen i na tę diecezję i na was, Mikołaju von Bantsch, ściągnąć gniew Stolicy Piotrowej, który was w niwecz obróci.

BEPPA (pokojuwo) Wasza miłość, wasza przewielebność. Dawno dzwoniono...

HENRYK (pojednawczo) I ona baranina gotowa się przypalić, nim do niej powrócimy. Chodźmy. Ja z waszą miłością.

PIOTR Z BYTKOWA I ja. Dla dobrego przykładu. Bo późno!
(wyprowadzają wściekłego Piotra z Auvergne)

Scena piąta

Mikołaj von Bantsch, Arnold von Protzan, Beppo Acciajuoli.

MIKOŁAJ (*purpurowy ze złości*) Głupcy... Myślą, że im się uda nas zatrzymać!

BEPPO O czym wasza miłość? Kogo zatrzymać?

MIKOŁAJ Nas, Niemców na Śląsku. Każdy — mocny, pracowity, zasobny w jakąś pożyteczną umiejętność, wytrwały... Kupiec czy rolnik, żołnierz czy duchowny... Każdy wie, czego chce i gdy znajdzie wodzów, słucha ich... Patrz tylko, jak się mnożą, jak zdobywają wsie i miasta, jak uzyskują wszędzie nie tylko prawa, ale przywileje.

ARNOLD Mikołaju... A czy zdobywają i serca?

BEPPO Właśnie, chciałem wtrącić, skoro już mnie wasze miłości rozmową zaszczycają... Czy zdobywają serca?

MIKOŁAJ Mniejsza o serca — korony zdobywają. Patrzcie na Jana Luksemburga, króla Czech i naszego króla... Dumny jestem, że jego podwładny. To jest mąż, to jest rozum, to jest władca ręka. To prawdziwy Niemiec.

ARNOLD No dobrze... A nasz Lokietek?...

MIKOŁAJ (*zachnął się*) Nasz?! Czyś ty Polak? Powiedz mi, mości kanoniku, jakiej ty jesteś narodowości?

ARNOLD Ja?... Ślązak jako i ty. Ale otóż i...

Słychać fletnie i lutnie. Drzwiami naprzeciw widowni wychodzi orszaczek fletnistów i lutnistów Aldony Giedyminiówny. Grają wesołą prostą melodyjkę. Za nimi kroczą Aldona z Grażynką. Obie — szaty polskie dworskie z XIV w. Całość trochę zjawiskowa.

MIKOŁAJ (*speszony*) Herr Gott! Co to?

BEPPO (*z włoską rozczulony*) Nie trwóćcie się, to małżonka polskiego Kazimierza królewicza, Giedyminiówna Aldona.

ARNOLD (*z niemieckim sentymentem*) Bez muzyki żyć nie może. Wszędzie przed nią fletniści a lutniści chodzą, niby aniołowie przed jaką świętą.

MIKOŁAJ (*zgorzłoszony*) Tfu, jakieś czary! Odkąd to w pałacu biskupim na coś takiego się zezwała? Tu nie dom zajezdny. Do klasztoru jakiego by je wyprawić, przystojnie opatrzywszy.

BEPPO (*zagaduje*) Na nabożeństwo wieczorne pewno się wybrały, wasza miłość.

ARNOLD Nankier ją nauczył wiary, ochrzcił i Kazimierzowi poślubił. Do niego księżna tu zjechała. Nijak ją stąd wyprawiać, ani jej dworu.

(*słychać gwar, szcęk, krzyki*)

MIKOŁAJ (*nadsłuchując*) No, zdaje się, że legat ma to, na co zasłużył!

BEPPO (*wygląda oknem*) Nie dojrzę, bo zakręt przeszkadza, ale tam się biją. Biegną, słychać jak biegną od Świętego Krzyża!

ARNOLD (*zrywa ze ściany jakąś broń i śpieszy do drzwi na lewo*) Mikołaju, szybko na ratunek. Tędy najbliższe.

MIKOŁAJ (*ostro*) Stać. Ani kroku. (*idzie do drzwi i zaryglowuje je*)

ARNOLD Chryste Panie... Czyś z mordercami w zмовie? (*chce się przedostać do drzwi, Mikołaj nie puszcza*) Kainem chcesz się stać?

MIKOŁAJ (*zimno*) Nie są to drzwi jedyne. Można też się tu dostać na około, od rzeki. (*Beppo wybiega na prawo w dół*)

ARNOLD (*u rygla z rozpaczą*) Zastanów się. Jeszcze czas. Przecie nawet nie wiadomo... A może w tłumie zginą i tacy, o których dbasz. Może zginie Anna Kazimierzowa, dziecko niewinne.

MIKOŁAJ (*zimno*) Może... Ale na pewno zginie zaklęty nasz wróg, Piotr z Auvergne, szkodnik sprawy Kościoła i naszej. (*zgiełk, bicie w drzwi: głosy „otwierać”!*)

W tej chwili z prawej strony z dołu ukazuje się Nankier, za nim Beppo i Kapusta. Wpadają roztrącając Mikołaja i Arnolda, otwierają drzwi z rygla i wwała się kłębem Piotr z Auvergne z nacierającymi nań mieszczanami, których usiłują powstrzymać figuranci, ale ci wprędce uciekają ku górze. Piotra z Bytkowa i Henryka z Wierzbna poturbowanych trzyma tłuszcza z boku, a dwóch przyparło do ściany Piotra z Auvergne. Mają noże rzeźnicze. Ten broni się szpadą. Nankier rzuca się ku tej grupie z Kapustą.

Scena szósta

Cizba, Piotr z Auvergne, Piotr z Bytkowa, Mikołaj, Arnold, Beppo, Nankier, Kapusta, później Konrad.

NANKIER Ludzie, co robicie! (napastnicy zwracają ku niemu noże)

KAPUSTA (wściekły) Ach wy, ścierwa! Na biskupa Nankiera dybiecie! (łapie ławę i wali ich z góry. Jeden z ugodzonych zdążył go przebić. Kapusta pada. Nankier kłeka przy nim)

BEPPA (wskakuje na stół) Ludzie! Ihr Leute. To biskup, der Bischof Namker. Ihr guten Leute.

Tłum przerażony zabójstwem ucieka. Zostaje na ziemi napastnik z rozbitą głową (Erhard) i Kapusta w kałuży krwi. Henryk z Wierzbna siada przy stole i piastuje ranną rękę. Piotr z Bytkowa podchodzi współczująco do Piotra z Auvergne, który ciężko dyszy. Figuranci zbierają się znowu. Są poobdzierani i pokrwawieni. Piotr z Bytkowa kiwa na nich, by sobie poszli. Idą sobie.

KONRAD (wychodzi z pachółkami z kuchni) Wasze miłości, nie brak tu izb i pościeli. Już posłałem po cyrulika. Nuże chłopcy, zabierać rannych. (podchodzi do Henryka) Wasza miłość na mnie się oprze. Zaraz to opatrzmy. (pacholcy wynoszą Kapustę i Erharda. Konrad wychodzi na lewo wspierając Henryka)

Scena siódma

Nankier, Mikołaj, Beppo, Arnold, Piotr z Auvergne, Piotr z Bytkowa.

NANKIER (wstał z ziemi. Jest dziwnie podobny do siebie, ale ma więcej wyrazu. Ubrany podróżnie do konnej jazdy, niedbale. Zmęczony, ale nie zmącony) Wasze miłości, czcigodni konfratryzy. Rad jestem, że nadążył w chwili, gdy ciężki rygiel przed wysiłkami waszymi ustąpić nie chciał.

MIKOŁAJ (opanowany i godny) Wasza dostojność raczy przyjąć nasze najradośniejsze powitanie. Witaj, nasz pasterzu. Jestem kanonik von Bantsch, administrator diecezji od lat siedmiu.

ARNOLD (zupełnie złamany) Witaj, pasterzu nasz, i bądź błogosławion za twoje przybycie. Zaliśmy kiedy w Bolonii przypuszczali...

NANKIER (do Arnolda) Stary druhu i wy, (do Mikołaja) księżę kanoniku, witajcie. I oby się nam wspólnie powiodło lepiej jakoś kierować tym niesfornym tłumem. Kogóż to oni tak napadli?

BEPPA Przypominam się waszej dostojności sprzed lat 35 w Tarszku, u łóża śmierci księdza biskupa Pawła z Przemankowa, a później we Florencji. A napadli oni na legata kolektora jego świątobliwości, wielbego Piotra z Auvergne. (wskazuje na niego)

NANKIER (zwraca się do Piotra z Auvergne) Najprzewielebniejszy księżę legacie! Rad bym wiedzieć, żeście z tego wyszli bez szwanku, dostojny nasz gościu?

MIKOŁAJ (nie patrzy na nikogo) Odradzaaliśmy jego miłości...

PIOTR Z BYTKOWA (przerywa) Odprowadzę waszą dostojność do jego komnat na wieczrę. Wnet ją przyniosą.

PIOTR Z AUVERGNE (ponuro) Zaiste jadł będę sam, obawiając się maczać rękę w jednej misie z tym, który mi tę zasadzkę zgotował. (patrzy na Mikołaja) Wasza miłość (do Nankiera) wybaczy, że teraz pójde spocząć. Jutro mówić będziemy, jeśli wola, a o interesach.

(wychodzi z Piotrem z Bytkowa w górę na prawo)

Scena ósma

Nankier, Mikołaj, Arnold, Beppo, potem Konrad.

MIKOŁAJ (ze sztuczną lekkością) Chimerny to człek i wielkie mamy z nim utrapienia.

NANKIER (nie patrząc na Mikołaja) Dziś raczej on zdał mi się utrapień doznawać.

ARNOLD Jakaście tak w porę nadeszli, wasza dostojność?

NANKIER (z prostotą) Koń mi okulał w drodze. Zostawiłem go pachółkom przy wozach, a sam wodą dojechałem na miejsce. Drzwi mi ktoś wskazał od tyłu pałacu, a tam mi drogę zabiegli: ten zacny Włoch i młody ów, którego nożem

w mojej obronie pchnięto. Takem tu trafił. *(patrzy na kanoników)* Wasze miłościę zmęczenieście, wstrząśnięci. Idźcie z Bogiem. Ja i tak tym rannym moim zbawcą zająć się muszę, nim wieczerzę podadzą.

MIKOŁAJ *(z wahaniem)* Jakże tak sami zostaniecie w obcym domu, w wieczór przybycia?

NANKIER *(łagodnie)* Mój to odtąd dom, mój, konfratrze miły, anim tu wszak obcy, bom ze Śląska, jako i wy. Idźcie z Bogiem, a bądźcie dobrej myśli. *(Mikołaj drgnął zdziwiony, po czym idzie ku drzwiom oglądając się władczo na Arnolda; ten ze spuszczoną głową idzie za nim)* I ty, stary boloński konfratrze, *(do Arnolda)* bądź dobrej myśli, i ty również.

(oba wychodzą, Nankier zostaje chwilę sam i rozgląda się, wchodzi Konrad)

Scena dziewiąta *(musi być grana presto)*

Nankier, Konrad, Beppo.

NANKIER *(z troską prawdziwą)* Jakże tam mój obrońca się miewa?

KONRAD *(zaafektowany)* Krwi wiele utracił i słaby bardzo, a rwie się do domu, by pieniądze ojcu na Trzebnicką odnieść. To szewcy.

NANKIER Wyślijcie ojczę, jakowegoś pewnego pacholka na ową Trzebnicką. Ranny niech u nas ostanie na dni kilka. Aleście czegoś sfrasowani?

KONRAD *(niewesoło)* Ja wohl... Bo tego drugiego rannego pacholkiwie miejscy zabrali. Twierdzą, że z lochu im uszedł poprzedniego dnia.

BEPPPO *(żywo)* Na Boga! Coście uczynili! Nawet i mnie, choć cudzoziemcowi, wiadomo, że tu na Ostrowie jurysdykcja biskupia. Nie mieli prawa! Co to za człek?

KONRAD *(sfrasowany)* Nie stary, tutaj urodzony, ale od lat kilkunastu po świecie się tyrał. Mówili, że popełnił jakoweś przestępstwo i że go przed kilku dniami poznano i uwięziono, by spalić na stosie. *(z wahaniem)* Książdz administrator von Bantsch kazał go wydać. *(Nankier zachnął się. Beppo jakby coś zrozumiał)* To — Niemiec.

NANKIER *(gwałtownie)* Niemiec czy Polak, Tatar, czy Turek — w obrębie jurysdykcji kościelnej winien być bezpieczny. Dziw mi, że kanonik von Bantsch tak łatwo ustąpił z naszych przywilejów.

(Beppo spuszcza głowę. Konrad się martwi, bo widzi, że popełnił grubą nieformalność)

KONRAD *(ociągając się)* I jeszcze to, że u Świętego Krzyża w tłoku ono Murzyniátko księdza legata — zdeptali.

NANKIER *(ze zgrozą)* Zdeptali!?

KONRAD *(sfrasowany)* Rozruch i tłok był wielki, a on chłopaczyna słaby, nie taki jak nasze dzieci śląskie. Ledwo go tam ktoś konającego przed kościołem na gwałt ochrzcił, bo inaczej nie wiadomo by nawet, jak go pochować, chyba na żydowskim kirkucie.

NANKIER *(jakby do siebie)* Że też Pan Bóg nas, ludzi, ścierpieć może!

KONRAD *(skłopotany)* Wybaczcie raczycie, wasza przewielebność... Takie święto, jak przybycie wasze — i tyle niemiłych zajść. I ja się też do tego nieco przyczynię, bom zmuszony opuścić Ostrów przed wieczerzą, której obowiązkiem moim byłoby — skorom się podjął — do końca dopilnować... bo... bo...

NANKIER *(wyrywa się z bolesnego zamyślenia, teraz dopiero spostrzega naprawdę Konrada, jego porządność, rzetelność, niedaleki półot, i mówi z dobrocią)* I cóż nam jeszcze powiecie niepomyślnego, wielebny ojczę? Mówcie, nie oszczędzajcie, choćem *(ogląda się na Beppę)* zaiste — zdrożony.

KONRAD Ostawiam tu całkiem godnego zastępcę, kuchmistrza, i muszę śpieszyć do nas, do augustianów bo... bo... *(strasznie zażenowany)* na dzisiejszym zgromadzeniu, na którym nawet obecny nie byłem, jako zupełnie zbędny, *(decyduje się)* obrano mnie opatem. *(zatrzymuje się, czerwony ze wstydu)*

NANKIER *(rozweselony)* Oto pierwsza dobra nowina w tym dniu, ojczę...

KONRAD *(podpowiada)* Konrad von Loslau, kuchmistrz u ojców augustianów.

NANKIER Dajże ci Bóg łatwiejsze panowanie, niż się moje tutaj zapowiada, wielebny ojczę opacie. Dzięki za pomoc. Idźcie z Bogiem objąć wasz urząd.

(Konrad całując rękę Nankiera i wybiega na lewo)

Scena dziesiąta

Nankier, Beppo, później Aldona z muzykantami. Sciemniło się nieco, ale to długi letni wieczór.

BEPPO (zasmucony) Takie dni mnie postarzają... Człek się wnet czuje zgrzybiały... Nigdy nie przypuszczał, że von Bantsch...

NANKIER (z gwałtownym gestem) Cicho!... Nie ma potrzeby, byś mi wasze o tym prawił teraz... Pewno nie pierwszysza to u niego... Człek ten mocny jest i mocnym ulega pokusom. (łagodniej) Wybaczcie!

BEPPO (zaskoczony) Ależ to grozi... (urywa)

Słychać lekkie stapania i muzykę. Z prawej strony z dołu wchodzą fletniści i lutniści Aldony Kazimierzowej, trochę zjawiskowo i pogańsko, jak i poprzednio. Ona sama na końcu. Spojrzała w górę i dostrzega Nankiera. Czar pryska, krzyk radości. Podbiega przerywając muzykantom i pada mu do nóg.

ALDONA Ojciec... Książd biskup krakowski... (do muzykantów) Odejdźcie dalej. (muzykanci odchodzą przez schodki górne na przypuszczalny tam korytarz czy ganek i przez chwilę nie grają. Są na pół widzialni)

NANKIER (potężnie wzruszony) Anulko, dziecko moje. (podnosi ją)

BEPPO (idzie w górę ku muzykantom na jakąś fachową muzyczną rozmowę. Ogląda fletnie etc.)

NANKIER Gdzie Kaźmirz?

ALDONA (z gestem zniechęcenia) Na wyprawie z królem, za Odrą. Jam tu do was na czas krótki zjechała, bo już nie mogę...

NANKIER Samaś tu jedna?

ALDONA Grażynkę jeno zabrałam. Jest z nami i starsza ochmistrzyni, pani kasztelanowa, ale że zasłabła nam w drodze, tośmy ją zostawili w pewnym klasztorze. Zjedzie tu i ona... Zaś Grażynka — przy onym rannym...

NANKIER (czule. Zdaje się stary, starszy niż jest) Co ci? Czy ci królewicz niemiły?

ALDONA (bezbarwnie) Miły.

(muzykanci zaczynają cicho grać)

NANKIER Brak ci czego? Tęsknisz?

ALDONA Myślałam, kiedym z Litwy naszej jechała do Polski, jeńców wam polskich ze sobą wiodąc tysiące a tysiące, że już większego szczęścia być nie może... Muzyki grały... Śpiewaliśmy pieśni... My swoje... Oni swoje... Jako owe mniszeczki u nas w niewoli będące obiecywały... Że kiedy Jezu Krysta wyznam... Że kiedy mnie woda święta oczyści... Że kiedy chrześcijańskiego królewicza żoną zostanę...

NANKIER Dziecko!... Zali ci czego nie dotrzymano?

ALDONA Myślałam, wierzyłam... Mówiliście i wy: u Jezu Krysta jest pokój. On każe miłować. Nie tak jak u nas... A teraz...

NANKIER Co — teraz?

ALDONA Teraz król i mój Kaźmirz i nasze litewskie z nimi wojsko — na wyprawie, i nie przeciw pogaństwu szpetnemu, ale przeciw chrzczonym ziemiom... Wrócili stamtąd poniektórzy rycerze i pachołcy z łupami, prowadzili brańców mnogich, pokrwawionych, bosych... Łupy na wozach mieli bogate, ornaty złożone, kielichy kosztowne... (Nankier się wzdruga) Chłopów za wozami na powrozach ciągnęli, niewiasty splakane za pogubionymi dziećmi... Jako dawniej do nas wrócili nasi wojacy, tako teraz — wasi z niemieckich ziem chrześcijańskich. (Nankier opuszcza głowę) Ojcie, księżę biskupie... Jakże to? Chciałam ich zwolnić, do domu odesłać — nie dali... Mówiliście — u Jezu Krysta jest pokój... Azali u was lepiej jest niż u nas pogan?

NANKIER (zamyślony. Ocknął się) Nie, dziecko, nie po tom cię ochrzczył, żeby cię oszukiwać. Nie czynimy lepiej niż poganie, choć powinniśmy. Ale tobie dał to Jezus Chrystus, że widzisz zło i od dobra je odróżniasz. Daje nam to Jezus Chrystus wszystkim. Od Boga to rozeznanie idzie.

ALDONA Ojcie, u nas pogan, wroga się nienawidzi, wroga się zabija. Uczyłeś mnie, że Kryste każe kochać nieprzyjaciół. Ale król, ale Kaźmirz, alle rycerze...

NANKIER (z prostotą) Grzeszą, córko, grzeszą ciężko...

ALDONA (spojrzała. Odetchnęła... Weselsza) Nie gniewasz się, ojcie? Nie obraziłam Jezu Krysta?

NANKIER (krzepnie i pogodnie) Usługiłaś mu, córko, tak jak byś głodnego nakarmiła, spragnionego napoiła w jego imieniu. On mi cię zesłał...

(*hałas, rumor za oknem. Wołanie: „Gdzie biskup?” Nankier z Aldoną i Beppo podchodzą szybko do okna*)

KONRAD VON LESLAU Wasza miłość! (*muzyka urywa*)

NANKIER (*wychylony*) Otom jest.

GŁOS KONRADA Ów ranny więzień uciekł pachołkom w mieście i biegnie tamtym brzegiem ku mostowi. Ratujcie go, skoro taka wasza woła.

BEPPU Na Boga, jeśli wbiegnie na most, należy do tutejszej jurysdykcji, jest ocalony! Nankier porywa z ławy jakiś płaszcz i biegnie ku drzwiom na lewo. Wszyscy nieruchomo patrzą za nim. Słuchać krzyki za sceną.

AKT II

Miejsce: Nysa. Jesień. 28 września. Rok 1338.

OSOBY:

NANKIER, lat 66, biskup wrocławski.

MIKOŁAJ VON BANTSCH, lat 61, kanonik wrocławski, sędzia nadworny księcia wrocławskiego, mąż zaufania króla Jana Luksemburczyka.

ARNOLD VON PROTZAN, lat 61, kanonik i kanderz kapituły wrocławskiej.

JAN KAPUSTA, lat 36, majster szewski w Nysie.

GRAŻYNA KAPUSCINA, lat 26, jego żona. Przy mężu.

PIOTR Z BYTKOWA, lat 61, kanonik wrocławski.

DOROTA DROBOTÓWNA, lat 85, księżniczka klarysek.

ELŻBIETA, lat 38, królowa czeska. Zjawia.

GRACJAN JOCHEL, lat 50, totumfacki.

FRANÇOIS, lat 23, paź dworu czeskiego.

SALOMON, lat 35, marszałek dworu i kuchmistrz ks. Bolesława z Legnicy i Brzegu. Żyd.

ERHARD SZMIDT, lat 40, snycerz w drzewie. Niespełna rozumu.

JAGNA, lat 17, dziewczyna do posług.

Ogrodniczowie, siostry klaryski.

Ogród przy pałacu biskupim w Nysie.

Altana, której drzwi i jedna ściana widne na lewo. Ścieżki, żywopłoty, drzewa owocowe. W głębi na prawo, na północny-wschód wysoka ściana pałacu obrosnięta częściowo winem. Widać dojrzałe gronka. U góry — okno, czy dwa; u dołu wejście niskie, bez drzwi — może do sutereny? do służbowej części? Ławka, zydle, etc. Na południowy-wschód musi być niewidoczna furtka, skąd by ludzie wchodzili.

Scena pierwsza

Grażyna, potem Jagna, François, Gracjan.

Grażyna siedzi na zydłu, otoczona koszami owoców, które obiera i kraje. Jest blisko otworu wejściowego.

GRAŻYNA (*do Jagny wewnątrz*) Weź no to, co już obrane. Że też ja zawsze za was, kozy, robić muszę!

JAGNA (*wychyla się, tupocąc bosymi stopami*) A dyć musiałam chodzić po kuraki. (*zabiera misę z owocami. Wraca, stawia pustą misę, wybiega tupocąc*)

Wchodzi François; wąty jak szparag, strój z czeska-francuski, z wieku XIV. Szpadka przy boku. Zatraskany. Rozpogadza się na widok Grażyny. Podchodzi i — buch ją w rękę, tę z nożem.

GRAŻYNA (*zaskoczona, ale przyjazna*) Uważaj przecie, chłopcze. O mały włos byłabyś cię uszkodziła. Cóżes taki marny?

FRANÇOIS (*wśród tego wchodzi Jagna po owoce, słucha*) Sen miałem... Żem był w tutejszej kaplicy i do mszmy służył, a wśród tego ksiądz zniknął i samem został przy ołtarzu. Może to jaki znak?

JAGNA (*wzdycha jak miech*) U nas pod Milliczem przy Piotrowicach Małych, jeśli ludzie w południe pląg na polu zostawia, to za powrotem znajdują na nim kawałek płacka krwią posmarowanego. Trza go zjeść, inaczej nieszczęście — pewne.

GRAŻYNA (*w trakcie opowiadania wchodzi Gracjan*) Ot, głupia... U mojej babki — to całkiem co innego: tam na strychu straszło czerwone oko. Widać je było o północy...

GRACJAN (*przerzywa*) Że też jejmość pani Kapuścinie nie wstyd takie pogańskie zabobony opowiadać młodym... Czerwone oko, jest o czym gadać!

GRAŻYNA Dlaczego pogańskie? Ot, oko jak oko...

GRACJAN (*do François*) To już ja lepiej wam opowiem coś o cudach naszego najświętobliwszego biskupa, ojca nas, Ślązaków. (*Grażyna macha czegoś ręką, ale François i Jagna okazują zaniepokojenie*) Ot, choćby i o Erhardzie, o Szmidku naszym.

GRAŻYNA Co to mego Jaśka nożem pchnął? Tak jakież to cud? Toż on pomyłony...

GRACJAN (*zirytowany*) Lepiej niech będzie pomyłony, aniżeli nieboszczyk. No nie?

FRANÇOIS (*przymilnie*) Niech jegomość opowiedzą!

GRACJAN Jedenaście lat temu uciekł z więzienia w ratuszu wrocławskim niejaki młody przestępca, Erhard Szmidt. Wrócił on był właśnie do ojczystego miasta po wielu latach tułaczki, bo jako mały chłopak w złości podpalił budy garncarzom, a potem uszedł daleko, a i w Krakowie też bawił, tam się snycerstwa ucząc...

JAGNA No i co? No i co?

GRACJAN No i — czy zateknął, czy matkę chciał odwiedzić — dość że, jak wrócił, zamknięto go i osadzono na stos. Wyrwał się pacholkom w ostatniej godzinie i pognął co sił ku Ostrowowi. Wiedział, biedaka, że jeśli uda mu się wbiec na most, to już podlega tylko sądowi biskupiemu. Właśnie wtedy nastał na stolicę biskupią we Wrocławiu ojciec nasz, prawy Ślązak, ksiądz Nankier. Ledwo zasiadł po podróży do posiłku, aż tu go anioł głosem z nieba przestrzega, że ma biec ratować ginącą duszę...

GRAŻYNA (*na stronie*) I nie anioł żaden, jeno Konrad opat.

GRACJAN (*i słuchacze nie uważają*) Zerwał się tedy ojciec nasz i biegnie ku mostowi, gdzie już Szmidt tuż, tuż na tamtym brzegu, a pościg — za nim. Widać, że nie dobiegnie i że go schwycą... Co czyni świętobliwy pasterz? Wyciąga rękę i rozkazuje mostowi wydłużyć się o jedno przeszło, akurat tyle, ile trzeba było, żeby zbiega uratować.

FRANÇOIS (*bez tchu*) I uratował się?

GRACJAN A oczywiście!... Wpadł na to cudowne przeszło i znalazł się wnet pod władzą biskupią. Pacholki miejskie na dyle mostu za nim wtargnąć się nie ważyły.

GRAŻYNA Baj, baju...

GRACJAN (*urazony*) Co, może nieprawda? Może się nie uratował?

GRAŻYNA Owszem, uratował się nicpoń... Ale żadne tam przeszło cudem się nie wydłużyło, tylko biskup na most wbiegłszy w koniec płaszcza swego kamień zawiązał i tak go zręcznie cisnął, że płaszcz — rozpostarłszy się od mostu ku zbiegowi — jakoby ścieżkę utworzył most przedłużającą... Na płaszcz ten niedojda Szmidek w ostatniej chwili skoczył, z niego na most, a pacholcy istotnie pogłupieli.

GRACJAN (*zły*) Nie kijem go, to palką... Przedłużył i uratował. Czy to nie cud? A nie żadne tam jakieś czerwone oko!

(*wchodzi ogrodnicek ze śliwkami, zatrzymuje się i słucha razem z Jagną*)

GRACJAN (*do François*) Albo choćby i to ...Raz pasterz nasz miał się udać kędyś z pielgrzymką, ale że to prostota u niego wielka i skąpi sobie na wszystko, więc całych butów nie było na rano. Ja sam pokojowcem wtedy służyłem na Ostrowie, więcem — za buty i do najlepszego szewca w rynku, by mi je na poczekaniu naprawił. Cóż, kiedy ten na gwałt rychtował aż pięć par nowego obuwia dla tego Niemca spod ciemnej gwiazdy, dla kanonika von Bantscha z kapituły, sędziego na dworze księcia pana wrocławskiego... No, i wróciłem z niczem... Wstyd mi było, kiedy o szarym ranku podawał buty jego przewielebności... Mówię tedy: „Wasza miłość raczy wybaczyć, że buty nie naprawione”. A biskup mi na to: „Co ty gadasz! Tak całych butów jużem dawno nie miał”. Wiercie albo nie: przy dotknięciu jego świętej stopy dziury się owe pozrastaly, a podeszew przyoblekła się nową skórą. Samem to widział.

FRANÇOIS, JAGNA, OGRODNICZEK (*razem*) Dziwa prawicie!

(*wchodzi Jan Kapusta nie zauważony i słucha*)

GRAŻYNA (*gniewna*) Stary z was bajeczkarz... Toż mój Jaśko całą noc wówczas buty one latał. Kiedyście wy zasnęli, kuchcik z nimi pognął konno na Trzebnicką i o świcie na Ostrów je przywiózł gotowe do włożenia. (*Gracjan milczy zły*)

KAPUSTA (*wesoło*) Cha, cha, cha... Tak, tak. Stare to dzieje. (*Jagna znika w kuchni, ogrodniczek wysypuje śliwki do kosza i odchodzi*)

Scena druga

Grażyna, François, Gracjan, Kapusta.

KAPUSTA (*serdecznie*) No, Grażynko, zamknąłem warsztat. Pora na cię do domu. GRAZYNA (*patrzy na niego miłośnie*) Siostra ekonomka prosiła, żeby dziś trochę pomóc przy suszeniu a kwaszeniu na zimę. W ogrodzie tutaj nad strugą obfitość, choć wszędzie susza a susza.

GRACJAN Głód straszny w narodzie. Słychać, że w Trzebnicy sześć mniszek z głodu umarło...

FRANÇOIS Co to za kraje, te nasze kraje, ludzie wy moi?! U nas w Czechach kubek w kubek to samo: co roku mór, głód, szarańcza. Panowie się za panami po całym kraju z wojskiem uganiają, wsie pustoszą, mieszczan rabują, kościoły z dymem puszczają, zasiewy niszczą...

KAPUSTA (*rażno*) Wyście jednak tam w Czechach szczęśliwsi, niż my w Polsce: jedynego macie króla. U nas jednym ciągiem księżęta ze sobą o dzielnice się biją.

GRACJAN U nas? A co jest to „u nas”? Mówicie „w Polsce”. A czy tu Polska? Tu Śląsk króla czeskiego Jana.

GRAZYNA (*żywo*) Tu Śląsk, ale polski. Tu księstwo Otmuchowsko-Nyskie, biskupów wrocławskich własność udzielna. Jego miłość Nankier nie dał go królowi Janowi w lenno, nie tak jak inni.

FRANÇOIS Mówicie — nam w Czechach lepiej. A toć nasz król nigdy w kraju nie bawi. Milszy mu Ren, Paryż i włoskie kraje. Wiem ja coś o tym, wiem.

GRAZYNA (*ze współczuciem*) Tyrałeś się, biedoto, tyrałeś wiele, chociaż młody. Wzięli cię pacholęciem od matki Ślązaczki, zdychającej z głodu, żywili, a popychali. Imienia ci nawet nie zostawili własnego tylko dali przezwisko.

FRANÇOIS (*wstydliwie*) E, nie! Imię moje Frantisek. Fransua — to po francusku, bom z Marią, siostrą króla jegomości Jana, do Paryża jako paż był posłany, kiedy za króla Filipa francuskiego ją wydawano.

KAPUSTA (*rażno*) Toś ty — Franek! No, ale ja zabieram żonę do domu, bo czas pomyśleć o obiedzie.

Jagna wynosi resztę koszy. Wychodzą Grażyna z Kapustą, zabierając François serdecznym gestem. Wchodzi Piotr z Bytkowa. Strój duchowny.

Scena trzecia

Piotr z Bytkowa, Gracjan, potem Arnold von Protzan, wreszcie Salomon.

PIOTR Z BYTKOWA (*do Gracjana*) No, panie Jochel, nic nowego?

GRACJAN Dotąd nic, księże kanoniku. Jego miłość wraz z medykiem i dwiema siostrami po mszy udał się do szpitala trędowatych i dotąd nie wrócili... (*z wahaniem*) Siostra jedna mi mówiła, że trędowaci nieraz dotykać usiłują szaty jego miłości...

PIOTR (*zachnął się*) Uchowaj Boże!

GRACJAN Mówią, że dwóch, spod Milicza, wypuszczono jako ozdrowieńców... Może więc... (*waha się*)

PIOTR (*z niechęcią*) Panie Jochel... Waści trzymają się różne nierozumne plotki. Pomiędzy onymi trędowatymi mogli być i nie trędowaci. (*w ścianie palacu otwiera się okno i ukazuje się w nim Arnold von Protzan*)

ARNOLD Ej, księże Pietrze, księże konfratrze, ej!

PIOTR (*patrzy w górę zdziwiony*) Wy tu? jakim sposobem? Witajcież!

ARNOLD I ja, i Paweł von Bantsch, i ksiądz kanonik Wiener czekamy tu na Mikołaja.

PIOTR (*zaskoczony*) Na Mikołaja? Wszakże on u księcia Bolka w lochu siedzi, odkąd go ten niecnota z kościoła św. Idziego porwać rozkazał.

ARNOLD (*tajemniczo*) Ma tu być dzisiaj. Tak nam dano znać. Kolebkę mamy gotową dla niego i medyków na podorzędziu. (*cofa się*)

PIOTR Z BYTKOWA (*zamyślony*) Co za dziwy? Skąd by miał się tu nagle zjawić Mikołaj!?

GRACJAN (z uporem) Są wybrani, przez których leczy Pan nieuleczalnych i uwalnia uwieczionych... Są takowi, są.

PIOTR (zniecierpliwiony) Panie Jochel, kuszysz waść tylko Pana Boga i moją ciepłowość... Czy dla tego Niemca opłaciłoby się...
Słychać rumor wewnątrz palacu, trzaskanie i skrzypienie różnych drzew. Podniesione głosy. Słucha tego Piotr. Tymczasem z prawej strony klapnęła drewniana niewidoczna furtka i wtacza się wspaniały marszałek dworu księcia legnickiego i brzeskiego, Bolka, kolorowy, ozdobny, bardzo wschodni Salomon Żyd, postać okazała, barwna, pełna charakteru, ale wcale nie komiczna.

Scena czwarta

Piotr, Gracjan, Salomon, później Erhard.

SALOMON (bardzo godnie) Sługa uniżony waszmościów.

GRACJAN W imię Ojca i Syna, a toż kto? (Piotr milczy ostrożnie)

SALOMON Marszałek dworu księcia Bolesława brzesko-legnickiego szwagra króla jegomości.

PIOTR (zdziwiony, ale dyplomatyczny) Witajcie, panie marszałku. Czy z listem od księcia pana do jego miłości naszego księdza biskupa? Czy w jakowejś innej sprawie? Siadajcież, zaraz wam piwa podadzą. (woła do wewnątrz) Jagna, przynieś no tu piwa i poczęstunek jakowyś do tego.

SALOMON (siada na ławie. Piotr pozostaje na nogach. Gracjan boczy się na Salomona) Jużem sprawę (wskazuje na palac) tam załatwił. (wchodzi z lewej strony Erhard Szmidt, ma w rękach deszczułkę, którą obrabia nożem snycerskim. Ubiór na pół mniszy, zupełnie zaniedbany, ale czysty. Jest całkiem zaabsorbowany. Siada na ziemi pod altaną na lewo, nie patrząc na obecnych) Nie łąda to sprawa. (Jagna wnosi piwo i jakieś jadło gapiąc się i stawia obok Salomona na ławie) Więznią księdzu biskupowi dostawiłem.

GRACJAN (żywo i nieprzychylnie) U nas i więzienia nijakiego nie masz. Jego miłość, skoro nastał, więźniów wypuścić kazał... Stoi puste. Jabłka tam na zimę składają.

PIOTR Odejdź, wasze... Niech pan marszałek mówi dalej. (Gracjan zły wchodzi do domu)

SALOMON (popija i mówi konfidencjonalnie. Gesty wschodnie) Czy ja nie mówiłem... Czy ja nie prosiłem... Czy ja księciu panu nie przedstawiałem!... Po co nam to? Książdz to — z przeproszeniem księdza kanonika — towar i ryzykowny, i nie-trwały... A kanonik von Bantsch — oj! — to jak by kto tygrysa złapał. (na nazwisko „Bantsch” Erhard drgnął i spojrzał na mówiących spoud swojej deseczki)

PIOTR Wielki Boże, toś asan przywiózł tu księdza kanonika Mikołaja von Bantscha. Jakim cudem?!

SALOMON (rzeczowo) Nie cudem, nie cudem, wasza wielbność... U naszego księcia pana za trochę złota wszystko da się zrobić... I cudu nie potrzeba!

PIOTR (ze wstrętem) A wiem, wiem... Toć raz miastu i synów własnych w zastaw oddał, książątka nieletnie — Ludwika i Wacława.

SALOMON (trzeźwo, popijając) I czy z tego komu była jaka szkoda, wasza wielbność? Ale tu!... Po co nam kanonik von Bantsch? (Erhard znowu drgnął) Same tylko straty. Ojciec Święty się gniewa, rada miasta Wrocławia się gniewa, sam książdz kanonik oj, jak on się gniewa i kłatwą grozi!... No więc, kiedy jego przewielebność książdz biskup dnia pewnego przysłał gońca z okupem...

PIOTR (suffoqué) Z okupem!...

SALOMON (z aprobatą) A z okupem, choć i niedużym... To jest mąż, to jest głowa!... Nie gadał, nie pisał, nie groził... Po ludzku postąpił, w samą porę.

PIOTR (oburzony) Jak od pohańców z niewoli...

SALOMON Jaka różnica? A czy księcia Henryka Grubego, ojca naszego Bolka, książę Henryk glogowski, choć chrześcijanin, w żelaznej klatce nie trzymał, aż mu się ten sowicie okupił. Z dziada pradziada rodzina nasza książętom legnickim służy... Wiele czegośmy się tam mapatrzili. (popija) No, ale mam ja i tu w Nysie krewniaków, co złotnikami są. Dziękuję za poczęstunek, wasza wielbność i polecam się na przyszłość. Czas na mnie. (wychodzi nieco pompatycznie, ale nie śmiesznie)

Scena piąta

Piotr, Erhard, potem Nankier.

PIOTR (spogląda ku palacowi, robi kilka kroków, zatrzymuje się, waha, machnął ręką, zostaje i w zamyśleniu podchodzi do Erharda) Co tam rzezasz, bracie?

ERHARD (pokazuje deseczkę) Ich schnitze eine Platte. (mówi z trudem) Płytkę.

PIOTR (z podziwem na pół do siebie) Niby trzech zliczyć nie umie, a jakie to z ręczne palce ma do tej roboty. I co to ma być? Tu — jakby jakowaś rzeka...

ERHARD (kontent z pochwały) Die Odra.

PIOTR Tu biegnie ktoś, chudy, nędzny, pot mu ścieka z twarzy. A za nim pędzą inni. Ten na przedzie, pewno Niemiec, mocny taki a groźny... Kogoś on mi przypomina...

ERHARD (patrzy mu z napięciem w twarz)

W tej chwili z lewej strony od altany przez ogród wchodzi Nankier. Odwraca się jeszcze i mówi do kogoś. Jest mocno postarzały, jakby przezroczysty, ale pogodniejszy niż w akcie I i pewniejszy siebie niż w II. Ubiór skromny, bosa stopy w sandałach.

NANKIER (do kogoś za drzewkami owocowymi) Zaniesiecie im później z mojej kuchni... (Erhard przechodzącemu całuje skraj szaty) Cóż ty znowu? Wiesz, że tego nie lubię!

ERHARD (usadawia się u altany i dalej rzeźbi, na pół ukryty za pnem czy krzewem)

NANKIER (do Piotra) Witaj, mości kanoniku. Cóżes taki nadąsany?

PIOTR (z urazą) Niceś mi wasza miłość o swym zamierzeniu nie mówił...

NANKIER (usiadł na ławie) O którym zamierzeniu? (pogodnie) Tyle ich miałem i tyle się rozsypało. Gdybyś o nich wszystkich wiedział, zaiste stałbyś wśród samych ruin, jako ja stoję.

PIOTR Przywieziono tu Mikołaja von Bantscha... (ruch Erharda)

NANKIER (radośnie) Chwałaż Bogu. Bardzom się o niego troskał. Gdzież on jest? (chce się zerwać i biec)

PIOTR Oczekiwałi go na górze w pałacu brat jego Paweł, kanonik Wiener i kanclerz von Protzan. Jest tam z nimi. Jam go ani widział.

NANKIER (ustaje) Dlaczegoś nie poszedł go powitać, powitać tamtych?

PIOTR Nie rozumiem waszej miłości... Ubył nam, polskim kanonikom kapituły, ubył waszej miłości — na czas przynajmniej pewien — niebezpieczny wróg. Niemcy w kapitule pozbawieni przywódcy — przycichli... Udało się nam obsadzić niektóre kanonikaty Polakami... Lepsze mamy stosunki z Falkenhaynem, komendantem wrocławskim króla Jana... Nawet możni rajcy nie śmia tak oprymować rzemieślników Polaków, kiedy von Bantsch za nimi nie stoi. A wasza miłość spuszczaś sam z łańcucha onego wściekłego psa, który, jak sądzę, mocen jest i was na śmierć ukasić.

NANKIER (serdecznie) Gorące masz serce, księże kanoniku, i to ci się wielce chwali.

PIOTR (nie popuszcza) To nie serce... Ja mam rację, wasza miłość.

NANKIER Zostawię i to. Owszem, masz rację. Wszystko to prawda.

PIOTR Prawdą także jest to, że jeśli opuścić ręce, to Niemcy nas, Polaków, tutaj tak zadenarzą, że z gospodarzy kraju sługami obcych zostaniemy. Mówił to głośno ów dawny legat papieski, Piotr z Auvernii...

NANKIER (żachnął się) ...który symonię uprawiał, pieniądze kłatwą wymuszał, kleszeń własną nimi napychając, który prebendy tłuste więcej dającym przedawał...

PIOTR (przerywa) Czynił to istotnie, ale po naszej stał stronie, nas u Stolicy Świętej wychwalając, a Niemców ganiąc.

NANKIER (lekko) Pięknego mieliśmy, Polacy, chwałę u Stolicy Świętej!

PIOTR (szybko) Też i obecny, godny bardzo, legat Gallhard de Carceribus za nami stoi. Wiadomo, co pisał do Ojca Świętego... Że tam, gdzie Niemiec się zagnieżdzi, kończy się wierność, kończy się oddanie Stolicy Piotrowej...

NANKIER (uzupełnia) ...i kończą się Stolicy Świętej dochody... Tak mówisz, księże Pietrze, jak byśmy na polskiej ziemi bronili się Niemcom, a zapominasz, że król Kazimierz zrzekł się praw śląskich, że najwyższą władzę sprawuje tu ninie Jan Luksemburczyk, a nie król polski. My, śląscy Polacy, samiśmy tu teraz z owymi Niemcami, sami, bez Polski. To jedno tylko księstwo Otmuchowsko-Nyskie dotychczas do króla Jana nie poszło w lenno.

PIOTR (z bólem) Wiem. I dlategośmy tu z waszą miłością, my kanonicy polscy kapituły wrocławskiej, a nie we Wrocławiu.

NANKIER (z dobrocią) Słuchaj mnie, księżu kanoniku... Przemawiasz do mnie, jak do jakowegoś hetmana Polaków na Śląsku, i przeciw Niemcom mnie judzisz. A jam wszak pasterzem i jednych i drugich, nie przywódcą ani wojem. Powiadam ci: samiśmy tu naprzeciw siebie Ślązacy. Widno, że nikt nas nie rozsądzi, tylko my jedni, raz będąc górą w osobie Polaków, to znów Niemców... I to i to Ślązacy, mimo sporu o to, kto pierwsi tu nastał, I von Bantsch — Ślązak jako i my, i po swojemu tej ziemi oddany.

PIOTR (opuszcza głowę) Wiem ci ja... Ale mi markotno.

NANKIER Zdaniśmy tu jedni na drugich, powiadam ci... Król Jan od innych królów nawet nie gorszy, tyle że jako i reszta książąt świata tego — kapryśny. Dziś z Kościołem — jutro przeciw Kościołowi. Dziś poddanych głaska, jutro gnębi... Straszna a wątpliwa to rzecz dla biskupa ze świecką zmienną sprząc się władzą! Tyś nie widział, jak Paweł z Przemankowa umierał, okropną a późnioną targany skrucą...

PIOTR (opuszcza głowę) Wiem, wiem... Rycerstwo krakowskie i sandomierskie buntował, pogan na kraj ścigał, chcąc księcia Konrada Mazowieckiego z Czerska do Krakowa wprowadzić.

NANKIER (wznosi rękę) Dość! Już stanął na boskim sądzie... Ale ja tego nigdy nie zapomniał... A Muskata po nim, człek pocziwy, lecz i on do polityki zajadły. Toż do tego doszło, że wzięwszy udział w rebelii mieszczan niemieckich miasta Krakowa przeciw księciu, całkiem z diecezji uchodzić musiał. Jako sieroty lud bez biskupa został, sam naprzeciw władzy książęcej, oprymującej go wszelkimi służebnościami... I tak lata cale... Biskup Paweł z Przemankowa przeciw Piastom Śląskim, Czechom a Niemcom powstawał. Muskata przeciwnie, Niemców, Czechów, a śląskich książąt forytował. Jak świeccy panowie — najeżdżali oni książęta Kościoła zbrojnie dobra, łupili miasta i wsie, ludowi pocziwemu na utrapienie, Bogu na obrzydliwość!

PIOTR (gorąco) A wy? Wy, wasza miłość, po czyjejże jesteście stronie?

NANKIER (z dawną żywością) Ja — po stronie bożej. (zmieszał się) Na ile mi stać rozeznania. Grzesznym i omylić się mogę, ba, wciąż się pewno myślę... Możem i źle uczynił naonczas w Krakowie mocno się królowi Władysławowi jako biskup krakowski opierając, gdy po dobra duchowne sięgał i opłat dla Stolicy Świętej wysyłać nie zezwalał, zagarniając je na nowe wyprawy.

PIOTR (nieśmiało) Gracjan powiada... Że król na waszą miłość wówczas rękę podniósł i że... (Nankier patrzy pytająco) ...że mu ręka uschła.

NANKIER (żywo) To zwykłe Gracjanowe bajanie. Pogodziliśmy się z królem, nimem do Wrocławia się przeniósł. Obie ręce miał wtenczas zdrowe. Wieczne mu odpocznienie. (gorąco) Wolałbym, by mnie co dzień oburącz bił po twarzy, niż by uczynił to, co Kaźmirz... by Śląska odstąpił.

PIOTR (żywo) Więc jednak i wasza miłość czujecie?...

NANKIER (mocno) Jużem to Panu Bogu przekazał, a i ty przekaż, księżu Pietrze. Tu mnie postawiono, bym pasterzował obu nacji porówno i to czynić zamierzam, na ile zdolę... Możem słaby, może nieumiejętny, może głupi... (zasmucony) Może raczej nie powinienem był ustępować z kanonikami polskimi z Wrocławia aż tutaj, dla uniknięcia zwad... Może należało mocniej poprzeć wystąpienie legata Galharda przeciw Niemcom w kapitule?... Nieudolnym, księżu kanoniku, zapewne. Ale pragnę jednego tylko — bożą spełniać wolę.

PIOTR (wzruszony, ale nie przekonany) Wasza miłość, to jedno chcę rzec — że świętość nie popłaca...

NANKIER (śmiejąc się) A któż nam kiedy inaczej obiecywał, carissime?

W tej chwili z prawej strony słychać kłapanie furtki i na ścieżce pojawiają się von Bantsch i von Protzan. Nankier i Piotr zwracają się ku nim, witając ich. Erhard cały się zebrał w sobie na widok von Bantscha. Bantsch nieco schudł, pościwał, ale ma wspaniałą, mocną, twardą postawę. Protzan jakby skurczył się z wiekiem i zasechł.

Scena szósta

Nankier, Piotr, Erhard, Arnold, Mikołaj potem Gracjan i Kapusta.

MIKOŁAJ (*dźwięcznie i mocno*) Pokłon, wasze przewielebności. (*pochyla się nad ręką Nankiera, widzi brak pierścienia i prostuje się znowu. Trochę jest wzruszony*) Pokłon i dziękczynienie.

ARNOLD (*ma skrypt jakiś pod pachą*) Witaj, wasza miłość, obrońco kapituły.

NANKIER (*do Bantscha*) Rad jestem, że się nam udało zło naprawić. (*do Arnolda*) Widzę, Arnoldzie drogi, żeś mi swoją księgę wreszcie przywiózł. (*do Bantscha*) Czyście tam nadto nie ucierpieli, księżę kanoniku von Bantsch? Nie zdążyliśmy z ratunkiem tak rychło, jak byśmy byli chcieli.

MIKOŁAJ (*hardo*) Nawet i ten zbój legnicki nie ośmielił się zbyt niegodziwie traktować członka kapituły i przyjaciela komendanta von Falkenhayna.

PIOTR Z BYTKOWA (*znieczepliwiony*) Jakże się to jednak stało, że komendant von Falkenhayn nie wydobyl waszej wielbności z opresji, i że nikt z waszych koł militonów z kapituły wrocławskiej o waszą krzywdę się nie upomniał?

NANKIER (*nachem ręki przerywa*) Przystoi, by się o to biskup troszczył. Mam nadzieję, że wy sami, wielebny księżę kanoniku i członkowie kapituły, którzy — jak slysze — tu po was przybyli, będziecie czas jakiś naszymi gośćmi w Nysie. Jużem was kiedyś o to prosił. Byłyby liczne do omówienia sprawy.

MIKOŁAJ (*ostygł już ze wzruszenia*) Mocno żałuję. Pilnem odebrał nowiny. Król Jan jest w mieście. Tuszę, że wasza miłość wróci na zimę do Wrocławia. Nazbyt trudno jest gońców ze skryptami po zimowych złych drogach tam i z powrotem posyłać.

ARNOLD (*przykro mu za gruboskórność Mikołaja*) Czyńcie jako chcecie. Jedźcie, z bratem waszym i z kanonikiem Wienerem. Ja tu останę. Są ci tu konfratrzy: Apeczko, Otto z Donina, Kuncko z Szalkowa i inni. (*nieśmiało*) A może byście jednak i wy ostać zechcieli?

MIKOŁAJ (*zadufany w sobie*) Pilne mam z królem jegomością sprawy. Wielkiego to rozumu i rzadkiej bystrości pan, nie to, co nasi ślascy. Rozmnożyło się to jak króliki, nadymają się jak żaby, a siły w każdym w końcu tyle, co w małej muszce.

PIOTR (*zły*) O małoście jednak, wasza wielbność, przez taką małą muszkę żywota nie postradali.

MIKOŁAJ Bo piastowski to ród: słabe a jadowite...

NANKIER (*z godnością*) Nie przystoi wam, księżę kanoniku, postponować owego rodu, skoro tu, w księstwie Otmuchowsko-Nyskim stoicie, które lennem jest króla Kaźmirza Piasta, a wszędzie dokoła sami Piastowicze na książęcych stołcach siedzą.

MIKOŁAJ Dziwno mi, wasza miłość, nie skryję, że chociażście wrocławskim biskupem, wolicie — miast holdować dzielnemu a prawemu królowi Janowi — pozostać przy Kaźmirzu, onym zbrodniarzu przez Kościół wykłętym.

PIOTR (*porywczo*) Baczcie, co powiadacie! (*Nankier słucha zaszępiony*)

MIKOŁAJ Zali nie wiecie, że król Kaźmirz, jeszcze za życia królowej Alfony — Anny, bawiąc na dworze siostry swej, królowej Elżbiety węgierskiej, dworkę onej — Klarę, zgwałcił, po czym dopuścił, by pannę ową okaleczono i oszpecono, a wszystkich jej krewnych w całych Węgrzech po okrutnych mękach wytracono. *Wchodzi Gracjan i coś melduje po cichu Piotrowi, po czym zostaje już do końca sceny.*

MIKOŁAJ (*mówi dalej z satysfakcją*) Zali nie wiecie, że tuż po śmierci królowej, Kaźmirz żyjąc rozpustnie, miał jedną panią duszkę w Opocznie, drugą w Krzeszowie, trzecią zaś w Łobzowie. A gdy go o to biskup krakowski Grot przez księdza Baryczkę, wikarego z kapituły, zeszedł zimę upominał, król onego Baryczkę związać i do przerebli w Wiśle wrzucić kazał, za co klątwą po dziś dzień jest obłożony... (*Nankier i Piotr wyglądają zgnębieni. Mikołaj rad, że się postawił wobec dobroczyńcy. Arnold — jest głęboko zawstydzony*)

ARNOLD Mikołaju... Nie wstyd ci one starobabskie plotki powtarzać jego miłości? (*zwraca się do Nankiera*) Wasza miłość, wybaczenie... Konfrater mój srodze jest jeszcze udręczon po swym legnickim więzieniu. W lochu o chlebie i wodzie był trzymany, w ciemnicy bez okien, w pętach żelaznych... (*Piotr i Gracjan ucieszyli się. Erhard, aż powstał na klęczki*)

NANKIER (*pełen współczucia do Bantscha*) Nicem o tym nie wiedział, księżu kano-
niku, bracie miły. Na Boga, ostanieć u mnie, zechciejcie ostać na dłużej, aż
wydobrzejecie.

MIKOŁAJ (*wściekły i upokorzony, do Protzana*) Bodaj ci język usechł, gadulo! (*do*
Nankiera) Nie, wasza miłość, nie... Wdzięcznym, ale muszę do swoich. (*Erhard*
wstał z klęczek i staje przed Bantschem) Co to? Kto to? (*poznaje Erharda*) Jak
to? Ty? Ty, podpalacz, coś wtenczas uszedł kary!...

ERHARD (*jak z drewna*) Ja wohl.

MIKOŁAJ (*w furii i strachu dobywa sztyletu. Jest już na ścieżce do wyjścia, na pra-
wo. Za nim niespodzianie zjawia się Jan Kapusta*) Ja ci... Zbrodniarzu... Przepad-
nij wreszcie! (*Kapusta z tyłu wytrąca mu łagodnie sztylet. Bantsch do Nankie-
ra. Bez tchu*) Widzi wasza miłość. Dybią na mnie... Muszę do swoich... Bywajcie
zdrowi. (*Erhard zwraca ku altanie, upada pod jednym z krzewów. Kapusta z Gra-
cjanem stoją pod murem i szepczą. Bantsch wychodzi*)

NANKIER (*do Piotra i Arnolda*) Nieszczęsny, nieużyty człek! Odprowadźcie go do je-
go kołasy. Ja sobie spocznę trochę. (*Piotr i Arnold wychodzą*)

ERHARD (*szłocha na ziemi*) Ich Unglücklicher... Mogłem go zabić i nie zabiłem.

NANKIER (*do Gracjana i Kapusty*) Widzicie tych Niemców, co to za ludzie! Nic,
tylko by zabijali... Chłopcze, dajże już pokój. Rzeżaj swoje stalle i bacz, aby
pięknie wyszły, bo to potrafisz. Podpalileś garnarczom wtenczas one budy?

ERHARD (*szczerze i bez skruchy*) Ja wohl.

NANKIER No, dobrze. I spaliłeś ćwierć miasta?

ERHARD (*j. w.*) Ja wohl.

NANKIER I dałeś się namówić, by zabić legata w tłoku u św. Krzyża?

ERHARD (*błędnie*) Ja wohl, Ja wohl!

GRACJAN Tfu, jak to szczeka, jak nie człowiek!

KAPUSTA At, pomieszany!

NANKIER I Bóg cię uratował i tu osadził?

ERHARD (*z ulgą*) Ja wohl.

NANKIER No, to masz dość. Siedź spokojnie i rzeżaj stalle do kościoła, a nie daj
przystępu diabłu, co cię kusi. (*do Kapusty*) Zabierz go, panie Janie, do czeladnej
i każ nakarmić, bo sam się nie domyśli. A ty, panie Jochel, zawołaj no mi tego
czeskiego Francuzika, co wczoraj przybył.

(*Kapusta wyprowadza Erharda na lewo. Gracjan wchodzi do domu*)

Scena siódma

Nankier sam, potem Dorota i Elżbieta.

NANKIER (*ustawia sobie zydel tak, by móc się oprzeć o drzewo, na którym piękne*
rumiane jabłka. Do siebie) Ach, jakim ja znużony!

Z lewej strony idzie Dorota. Ubiór ksieni klarysek z XIV wieku. O kiju; szata
szaleści po liściach. Bardzo stara. Jak z kości słoniowej. O krok za nią Elżbieta
czeska. Strój ciemny, podróżny, z XIV wieku. Władcza, silna, w kwiecie wieku,
ale jakby chora czy zmarznęta. Błada. Sztynna.

DOROTA (*cicho*) Witam waszą miłość... Oto nasz biskup, miłościwa pani.

NANKIER (*ocknął się*) Witam was, dostojne niewiasty. Raczcie spocząć. (*wskazuje*
ławę)

DOROTA (*do Elżbiety*) Przejdę do kaplicy i wnet po was, miłościwa pani, powrócę.
(*wchodzi do domu*)

ELŻBIETA (*staje obok ławy. Zaczyna się lekko zmierzchać*) Ja do waszej miłości...

NANKIER (*stara się przypomnieć sobie, kto to*) Mówcie pani, słucham was.

ELŻBIETA (*bez wyrazu*) Córką jestem Wacława II, króla Czech i Polski, a żoną
Jana Luksemburczyka i matką jego dzieci.

NANKIER (*bardzo zdziwiony, ale nie wie, czy też zapomniał, że umarła*) Co mogę,
dla was uczynić, pani miłościwa?

ELŻBIETA (*z namysłem*) Nie wiem... nie wiem sama... Miałam lat osiemnaście, gdyś-
my się pobrałi. Samam sobie czeskim obyczajem suknię ślubną szyła... Byliśmy
bardzo młodzi. Jakże nas lud witał, dobry, czeski, wierny Przemyślidom lud!...
Ale król nigdy się do tego ludu nie przekonał... Opuszczał nas...

NANKIER (*zainteresowany*) Kogo, pani?

ELŻBIETA Mnie, dzieci, lud... Bawił w dalekich krajach, na turniejach, na igrach
rycerskich nad Renem, na wyprawach w Italii, we Francji u siostry swej Marii,

Niemców nam na zarządców pozostawiając. Wracal — tylko po daniny. W kraju działa się zamieszki. *(opuszcza głowę)* Ja sama niektóre wznieciłam, poróżniona z macochą o władzę... *(zamyśla się)*

NANKIER Słyszałem... Z Elżbietą polską, córką naszego Przemysława i szwedzkiej Ryksy... Biedny, bezpański kraj.

ELŻBIETA *(bezbarwnie)* Biedny... Biedni my... Ja biedna... Dzieci mi porozdawał po obcych. Więził mnie... Raz wojnęśmy ze sobą toczyli: on na zamku w Pradze, a ja go z mieszczan wiernymi i ludem oblegała. Ujęli się za mnie moi... Nie raz się ujmowali... Dobry lud. *(podnosi głowę)*
Zmierzcha się bardziej.

NANKIER *(zamyślony i smutny)* Wiem, słyszałem... Jak u nas... Spustoszenie, głód, mór... Jak u nas po niezgodnych księstwach.

ELŻBIETA *(jakby cytował przytaczając)* Najbardziej rycerski to król i najbardziej królewski z rycerzy. Hojny jest, choć oszczędny, pobożny a Bogu niewierny, uprzejmy ale opryskliwy... Niepodobny do siebie samego. Rychliwy w sądach i zmienny... Bez niego nigdzie w świecie całym nic się obejść nie może... Kochają go we Francji, nienawidzą w Czechach... I jest jak żywe srebro — nieukojone, aż dopadnie złota. Także u was złota on szuka, tylko złota.

NANKIER *(nieco zgorzchniony)* Oskarżacie go, pani miłościwa, wy, jego małżonka?... Przede mną? Dlaczego przede mną właśnie?

ELŻBIETA *(pierwszy raz trochę ludzka)* Ja nie oskarżam... Ja wspominam... Ja ostrzegam... Ślepy on na was... na mnie, na Czechy... Jak byśmy byli czymś, czego nawet nie widać... Niemiec on — ślepy na nas... *(głos jej cichnie)* Ślepy... *(postać rozplynęła się)*

Wbiega François.

FRANÇOIS Wasza miłość mnie wezwać kazał?

NANKIER *(rogląda się ockniony, maca ręką powietrze)* Miłościwa pani... Nie ma jej! Wychodzi z domu Dorothea.

DOROTA *(jak cień, trochę jak w akcie I)* Chłodno już, wasza miłość... Późno.

NANKIER *(nieco błędnie)* A ona? A królowa?

DOROTA *(j. w.)* Chłodno już, wasza miłość. Czas do domu, czas spocząć.

(wychodzi na lewo, szmerząc szatą po liściach)

NANKIER *(gest pożegnania, potem przeciera czoło, bo może mu się coś śni? Trzeźwieje całkiem. Do François)* Chłopcze, tyś był długo na dworze czeskim? Czemużeś stamtąd uszedł?

FRANÇOIS *(żałośnie)* Ja tak nie potrafię... Dziś tu, jutro tam... Ani domu, ani spokoju. Ja jestem Czech chcę żyć wśród swoich. Tu zaczekam, aż się król z rycerstwem oddali, wtedy wrócę do Ołomuńca. Tu, u waszej miłości, król panem nie jest, więcem się tu schronił do czasu. Zezwólcie...

(Słychać zgłęb. Wpadają Protzan i Piotr z Bytkowa. Ukazują się z domu Gracjan i Kapusta.)

Scena ósma

Nankier, François, Protzan, Piotr, Gracjan, Kapusta.

PIOTR Z BYTKOWA Opat Konrad von Loslau przygnał lasami konno z Wrocławia. Król Jan zajął Milicz.

NANKIER *(zaskoczony)* Przecie kanonik Henryk z Wierzbna miał rozkaz go nie wpuścić. To własność kościelna.

ARNOLD Pochlebstwem omotany, a winem francuskim zamroczony oddał królowi klucze. Znamy naszego Henryka nie od dziś!

NANKIER *(energicznie)* To jawna zdrada i gwałt. Tego tak zostawić nie można. Zaczny opat Konrad, że nas nie mieszkając zawiadomił!

PIOTR Z BYTKOWA *(zdziwiony)* Myślałem, że wasza miłość...

NANKIER *(rozumie go. Mocno)* Milicz to wspólna własność całej diecezji, do której nikt prawa nie ma, a moją jest rzeczą go nie oddać. Jużemy tego Milicza dwukrotnie królowi odmówili. Boleć wypada, ale trafi go teraz klątwa kościelna. Innej broni Kościołowi imać się nie godzi.

PIOTR Z BYTKOWA Milicz drogę do Polski otwiera. Ej, gdyby z niektórymi książętami wielkopolskimi się sprząc, a z Litwą...

NANKIER Nie dla mnie knowania i spiski Pawła z Przemankowa, obmierza świećka broń.

ARNOLD Luksemburczyk drwić sobie może z kłatwy kościelnej. Wrocław kłatwy nie wykona.

NANKIER (*pogodnie*) Ale ja Bóg potwierdzi. No, stary druhu, gdzie ów zeszyt, coś go ze sobą przywiózł? (*zartobliwie*) Ten zbiór waszych tutejszych formulek, jak wydawać wszelakie edykty kościelne na modłę wrocławską, nie krakowską. Dawaj no tu ono Liber Formularum. A waść, księżu Pietrze, idź i każ konie i wozy podać do drogi. Jedziemy wraz ze wszystkimi kanonikami zaraz do Wrocławia.

PIOTR (*zaniepokojony*) Wielkie stąd spadnie prześladowanie na kler od króla.

NANKIER (*wesoło*) A możemy na nie od dawna zasłużyli, księżu Pietrze, w dostatkach trwając, gdy lud cały w biedzie? Może nadeszła pora, by nam przypomnianno, żeśmy ubogiego cieśli, ukrzyżowanego Chrystusa śludzy, nie jakowś możni pankowie! (*wchodzą do domu: Nankier, Arnold i Piotr. W pałacu powstaje rumor. Zapalają się w oknach światła*)

Scena dziewiąta (*lente*)

Kapusta, Gracjan, François, Jagna. Potem dwie siostry klaryski i Grażyna.

GRACJAN O! i spokój się skończył.

KAPUSTA (*zatraskany*) Za stary nasz biskup na takie po nocach wyprawy.

(*wbiega siostra klaryska*)

SIOSTRA I Księdza! Księdza!

GRACJAN Na Boga, co się stało?

SIOSTRA I Przewielebna ksieni dogorywa.

(*wbiega druga klaryska*)

SIOSTRA II Siostro, już jest ksiądz proboszcz. Wracajmy do konającej.

SIOSTRA I Może księdza biskupa uprzedzić.

(*słychać turkot za sceną*)

GRACJAN Za późno. Jego miłość właśnie wyjeżdża do Wrocławia. (*siostry wybiegają*)

Godna to i świętobliwa pani. No, ale już jej było czas. Piękny wiek. Z takiego cnotliwego żywota to chyba dusza prosto do raju trafia. (*patrzy w górę*)

KAPUSTA Zaraz tu moja przyjdzie, to się zmartwi. Dobra była pani i jego miłość wielce ją szanował, całe skrzydło pałacu jej i siostrom dał na mieszkanie.

FRANÇOIS I moja pani dobra była.

JAGNA Kto taki?

FRANÇOIS Ano, królowa Elżbieta, pierwsza małżonka króla Jana, bo teraz już ma drugą, Francuzkę. Tamta umarła akurat osiem lat temu, też dwudziestego ósmego septembra, w taki sam piękny jesienny czas. Prawa Czeszka, choć z matki Habsburżanki.

GRAŻYNA (*wchodzi. Przystanęła*) Kto umarł?

KAPUSTA (*patrzy na nią czule*) Królowa Elżbieta czeska, ale to już osiem lat temu, a w tej chwili o... (*słychać dzwon z kaplicy*) słyszysz? Dzwonią. Skonała nasza ksieni Drobotówna.

GRAŻYNA (*plaszęła w ręce*) Wieczny jej odpoczynek... Nie ma naszej Aldony, nie ma już i ksieni Doroty... Jego miłość zmartwi się, jak wróci.

KAPUSTA To już wiesz, że wyjechał?

GRAŻYNA A jakże... Spotkałam trzy karoce i orszak konny na moście.

JAGNA (*wzdycha jak miech*) A w mojej wsi to jest taki mostek na rzece Barycz, co jak się tamtędy jedzie o północy, to jednocześnie z wozem po moście coś po wodzie przebiega, jakby człowiek.

FRANÇOIS To jeszcze nic. U nas, w Niezgodzie, pod Olomuńcem, przy garncarskim mosteczku widać o północy na dnie kogoś, kto kościół buduje i nigdy z tym nie jest gotów.

GRAŻYNA (*zaciąga trochę z litewska*) Głupie te wasze bajdy... Tam, gdzie ja się chowała, daleko, za Trokami aż, to rybaków na jeziorze straszy kaczka z końską głową... Kamieniem jak w nią cisnąć — nie kwacze, ale rzy jak żrebie. Straszne bardzo. Nie daj Boże ją spotkać.

JAGNA O Jezu! Nie kwacze, choć kaczka?

GRAŻYNA A nie, bo szak głowa u niej końska, nie kacza...

KAPUSTA (*otrząsa się*) I po co takie coś na noc opowiadacie!!

GRACJAN W samej rzeczy: lepiej posłuchajcie, jak ojciec nasz, Nankier, we wczesnej młodości zakamieniałego grzesznika, biskupa Pawła z Przemankowa, nawrócił.

JAGNA (*wytrzeszczona*) Biskupa a grzesznika? Nawrócił? Jakże to?

GRACJAN Nie przeszkadzaj, głupia. Wielki był to pan, ale i zbrodzień wielki... Przeciw prawemu księżęciu bunt podnosił, od ołtarzy stronił, polowania jeno a bitwy i pijatyki lubiał... Niewinnego człowieka kiedyś o głupstwo w uniesieniu zabił... Wilk do niego nawet raz ludzkim głosem przemówił... „Nawróć się, Pawle”, powiada...

KAPUSTA (*trochę jednak zaciekawiony*) A on co?

GRACJAN A on nic, jeszcze gorzej: mniszkę z klasztoru porwał.

Dzwony. Gracjan coś mówi dalej przy zapadającej bardzo powoli kurtynie. Pojawiają się gwiazdy, zapala się otwór wejściowy do domu. Z otworu wychodzi Erhard, siada na progu i rzeźbi swoją płytkę. Robi się żywy obraz.

A K T I I I

Miejsce: Wrocław. Koniec maja. Godzina wczesna. Rok 1341.

O S O B Y :

MIKOŁAJ VON BANTSCH, lat 64, faktyczny administrator diecezji, kanonik wrocławski, sędzia nadworny księstwa wrocławskiego.

JAN LUKSEMBURG, lat 54, król czeski.

JAN WIENER, lat 60, kanonik kościoła św. Krzyża, b. kapelan księcia wrocławskiego.

HENRYK Z WIERZBNA, lat 49, kanonik katedralny b. zarządca Milicza.

KONRAD VON LOSLAU, lat 49, opat augustianów, b. kuchmistrz.

ARNOLD VON PROTZAN, lat 64, kanclerz kapituły.

SALOMON, lat 38, marszałek dworu ks. brzesko-legnickiego. Żyd.

GRACJAN JOCHEL, lat 53, pomocnik świeckiej Protzana.

FRANÇOIS, lat 26, paź czeski. Przewodnik ślepego króla.

ERHARD SZMIDT, lat 43, snycerz przy katedrze. Niespełna rozumu.

Piękna komnata w pałacu biskupim we Wrocławiu. Piękne portrety zdobiją ściany. Ciężkie rzeźbione meble: ława, dywan, fotel. Pod ścianami skrzynie. W kącie zbroja, na ścianach trochę broni. Wielki obraz Matki Boskiej na prawej ścianie. Przed nią — kłęcznik. Na lewo — duży stół; na nim księgi, skrypta, pergminy z pieczęciami. Znać, że tu ktoś stale pracuje. Drzwi kilkoro; podwoje na wprost prowadzą do małego ogrodu, kończącego się Odrą. Ile razy się te drzwi otwierają, powinna buchać z nich zieleń, kwitnienie i słoneczność, a o ile możliwości — śpiew ptaków. W tej samej ścianie — jedno lub dwa okna. Zresztą na prawo i na lewo otwory zasłonięte kotarami zamiast drzwi.

Scena pierwsza

Arnold, Gracjan.

Kiedy kurtyna się podnosi, Arnold siedzi przy stole zajęty to pisaniem, to segregowaniem papierów, które wiąże w fascykuly. Fascykuly i papiery wyjmując ze skrzyń Gracjan i wkłada je do innych skrzyń.

GRACJAN (*wymizerowany i nerwowy, pokazuje trzymany w ręku zwój*) A ten — gdzie ma iść, wasza wielbność?

ARNOLD Ten? Dobrze, żeś mi go pokazał, panie Jochel. Ten całkiem gdzie indziej. To opis pogrzebu jego miłości, (*głos mu się zmienił. Chrząka*) księdza biskupa Nankiera.

GRACJAN (*odwrócił się. Stłumionym głosem*) Wasza wielbność byłeś mu prawdziwym przyjacielem.

ARNOLD Od dawna, panie Jochel, od dawna. To się zaczęło w Bolonii, w onej uczelni, gdzieśmy się na magistrów obaj kształcili... My i wielu innych.

GRACJAN (*z melancholią*) Jakie to szczęście, jakie szczęście — móc się uczyć. Każdy dar w sobie najpierw obejrzyć z nauczycielem, każdy potem z nim razem wyostrzyć, (*z gestem polerowania*) wyświecić na glanc. Później gra to-to kolorami jak jaki kryształ... A człowiek nieuczony cały mętny jest w sobie a chropawy. Nie świeci.

ARNOLD (*pocziwie*) Waść, panie Jochel, świecisz przecie onym darem wymowy, którego ci nikt zaprzeczyć nie zdoła. Gdybym ja go miał, nie skrobałbym tutaj

piórem przez lata całe, jeno bym na jakim dworze książęcym kaznodzieją został. GRACJAN Ja zaś, gdybym umiał piórem władać, jak wasza wielbność, kronikarzem byłbym, historię moich czasów zapisywał, miast popychadłem z domu do domu się szwędać: tu jako pokojowiec, ówdzie jako sługa kościelny...

ARNOLD (*przerzuwając*) ...a wszędzie — ulubiony dla swoich gawęd, panie Jochel.

GRACJAN ...W onej Bolonii prawdaż to, że pomarańcze rosną, zimy zaś tak ciepłe są, jak u nas lato?

ARNOLD Prawda, panie Jochel. My, Słazacy, litościwszą mamy aurę, ale koledzy nasi z ziem bardziej północnych nacieszyć się wprost spiekotą tamtejszą nie mogli. Siadywali na bołońskich kamiennych przyzbach na skwarze z zamkniętymi oczyma i twarzą wystawioną na słońce... Niczym jakie owoce w szpalerze dojrzeć mające.

GRACJAN Pewnie wiele nacji tam się spotykało?

ARNOLD Kogo tam nie było, panie Jochel! Toż do 10.000 studentów Bolonia la Dotta zwykła gościć. Więc prócz Italczyków i Hiszpanie, i Szwedzi, i Duńczycy, i kler angielski, a już Francuzów i Niemców co niemiara!

GRACJAN (*bez ironii*) To się dla waszej wielbności dobrze składało, że tylu tam było rodaków.

ARNOLD (*zaskoczony*) Dla mnie?! (*zastanawia się*) Powiem ci, panie Jochel, prawdę. Jam się lepiej o wiele czuł z Włochami a Polakami. Jak nastały spory, potem zaś doszło do bójk i zamieszek tom całe do Polaków przystań. Przecież i ja Słazak, jak wielu z nich było.

GRACJAN To były i zamieszki?

ARNOLD A były, i to takie, że się wszystkie faksje studenckie w końcu przeciw Niemcom spiknęły i — żeby nie Nankier — (*z pewną satysfakcją*) zgnetliły Niemców na miazgę.

GRACJAN (*z żalem*) Jego przewielebność zawsze się za każdym ujmował... Aleć, Niemcy to siłacze; im tego nie potrzeba.

ARNOLD (*rzeczowo*) Siłacze bo siłacze, tylko że tak długo każdemu tą siłą dopiekają, aż większość zbiorą przeciw sobie... Tak, tak, panie Jochel! Wtedy w Bolonii nasz Nankier póty od faksji do faksji biegał, póty usprawiedliwiał Niemców, a im znowu perswadował, by nieco spuścili z tonu, póty wszystkich prosił, aż po wspólnej mszy świętej do zgody doszło i potem już było cicho...

Scena druga

Ciż i Erhard, który wsuwa się zza kotary na lewo, potem Henryk.

ERHARD (*podchwytując ostatnie słowa Arnolda*) Cicho... Cicho... Still.

GRACJAN Szmidek! Człowieku, co tu robisz? Kto cię wpuścił?!

ARNOLD (*dobrotliwie*) Przy rzeźbiarskich robotach w katedrze (*znacząco*) za zezwoleniem księdza Mikołaja on człek jest zatrudniony. Dobry z niego snycerz, chociaż ma źle w głowie. Geh, Erhard, sei gut, geh nur arbeiten. Zabierz go, panie Jochel, niech się lepiej tu nie kręci, choć pod moją jest opieką, jako i pan sam. Gracjan z Erhardem wychodzą, jednocześnie innymi drzwiami wchodzi Henryk z Wierzbna, zawsze w typie księdza gogusia i franta, ale od roku 1327 znacznie skorumpowany. Ma katzenjammer.

Scena trzecia

Arnold, Henryk. Arnold wziął się do pisania. Jakoś nie zwraca uwagi na Henryka.

HENRYK (*zdejmuje kapelusz i rzuca go byle gdzie*) Dzień dobry. Co to za ludzie?

ARNOLD (*obojętnie, nie przerywając sobie*) Witaj, wielbny księże kanoniku. To ludzie ze służby pałacowej w Nysie. Ten młodszy to snycerz, któremu od razu przywiózł do prac w katedrze po śmierci jego miłośnika Nankiera. Ten starszy przybył dopiero wczoraj; wziąłem go sobie do kancelarii. Roztropny człek i bywały, a u Piotra przy probostwie w Otmuchowie ostać nie chciał.

HENRYK (*w złym humorze*) Widziałem tego starszego, gdy był w marcu w Nysie. Chodził za biskupem i modlił się do niego, aż śmiech brał patrzeć. (*Arnold milczy i pisze*) Wyhodował sobie nasz Nankier bóg wyhodował dworzan jak się patrzy: szewka i szewców, trędowatych a pomyłonych. Uciekłem stamtąd czym prędzej. (*Arnold milczy i pisze*) Ani z kim pogwarzyć, ani do czego dojść ze starym zdziwaczalnym biskupem...

ARNOLD (*przerywa. Surowo*) Wiem, bom tam przecie razem z kanonikami polskimi siedział, odkąd jego miłość przed nastającymi na niego poplecznikami króla Jana do Nysy uchodzić musiał.

HENRYK (*z dziecinną urazą*) I tyś, wasza wielbność, był nie lepszy od swego pryncypała. Nic, jeno modły a pielgrzymki, a odwiedzanie szpitali, w pałacu zaś samym istna sadzawka Betsaidy: ślepi, ułomni, dżumą złożeni. Brud, smród, pisk, jęki... Dziesięć dnim w Nysie bawił i ani razum się do Nankiera nawet nie dostał.

ARNOLD (*wstał. Surowo*) W Nysie właśnie wtedy skończyła się zaraza... Do pałacu na zimę wzięto z miasta takich, którzy od niej ocalaeli, ale zbyt byli słabi, by sami dbać o siebie. Czy to waszą wielbność razi, że jego miłość biskup Nankier wraz z klerem sam na czele całej pałacowej służby doglądał swoich gości? Wszakęś wasze Polakiem, a to nacja z gościnności słynąca.

HENRYK (*skatzenjammerowany*) Kpisz chyba sobie ze mnie, mości kanclerzu kapituły! O żebrakach onych mówię, nie o gościach, o żebrakach, których towarzystwo biskup nad moje śnać przekładał, skoro dla wysłuchania mojej misji czasu nie znalazł.

ARNOLD (*j. w.*) Próżna była misja waszej wielbności. Biskup kłatwy z króla Jana, ani z miasta Wrocławia by nie zdjął, dokąd nie wyrażona byłaby skrucza i nie odprawiona pokuta. Dziw mi, żeś się, księżę kanoniku, onej misji podejmował.

HENRYK (*czujnie*) Dziw?! Dlaczego?

ARNOLD (*j. w.*) Wasza miłość, jako zarządzający Miliczem w imieniu kapituły, oddałeś klucze królowi wbrew zakazowi biskupa, wbrew woli Ojca Świętego.

HENRYK (*przerywa*) Z politykim to uczynił, za co biskup winien był mi być wdzięczny, bo czego jemu by zrobić nie wypadło — a byłby do tego i tak zmuszony — tom ja wziął na siebie.

ARNOLD (*mniej surowo i poufalej*) Oj, Henryku, Henryku... Spoił cię król francuskim winem, a pochlebnymi słowy uwiódł... Może cię nawet przekupił! Wstydu nie masz ani za denara.

HENRYK (*z dąsem*) Wcale mnie nie przekupił! Nicem za to nie dostał, klnę się na Boga. Skąpiec to okrutny i na złoto chciwy, które na Śląsku i w Czechach wy-ciska, by je we Francji garściami rozrzucić, gdy my tu biedę klepiem.

ARNOLD (*sarkastycznie*) Już ja tam w tę twoją biedę nie wierzę. Sam kanonikat ile ci przynosi, a poza tym podległe ci kościoły wydzierzawiasz — mimo zakazu...

HENRYK (*przerywa*) To kropła w morzu... Toż opłacać muszę wikariusza, który moje w katedrze spełnia funkcje.

ARNOLD Nie masz się czym chwalić.

HENRYK (*żalony*) Ty byś chciał, księżę kanclerzu, by każdy, jako ty sam, nic tylko w kościele oraz w księgach uczonych siedział i formuły kościelne a listy paster-skie układał. Nie polujesz, u ludzi nie bywasz... Teraz, kiedy część kleru i lud-ności do kłatwy się stosuje — dochody do reszty zmalały... (*wrywa*) Nie wiesz, gdzie król?

ARNOLD (*zasiadł znów do pracy*) Król? Pewnie w zamku siedzi, a z medykami uradza.

HENRYK Na zły wzrok pono od dwóch lat się uskarża?

ARNOLD To nie wiesz, że całkiem zaniewidział, choć mało co od ciebie starszy!

HENRYK (*zaskoczony*) Nicem nie wiedział! Dlatego więc syn go w tutejszych rządach zastępuje... Po cóż tedy przyjechał?

ARNOLD (*dyskretnie*) Pewno do syna... Albo jak zwykle — po pieniądze.

Wchodzi François nieco zmęczniały i twardszy, nie taki bluszczowaty, jak w ak-cie II. Wyrażnie kogoś, albo czegoś szuka.

Scena czwarta

Arnold, Henryk, François.

FRANÇOIS (*klania się z roztargnieniem*) Kłaniam uniżenie. (*spostrzega Henryka i stanął na chwilę skamieniały. Ten również doznaje pewnego szoku*)

ARNOLD No, jakże ci tam, mości François, na nowej służbie u dawnych panów?

FRANÇOIS Nietrudna to służba być pokojowcem na zamku, w którym z rzadka tylko gospodarze kraju goszczą. Ale terazem przewodnikiem miłościwego króla jego-mości, który niedowidzi. (*patrzy co chwila spłoszony na Henryka. Ten odwraca się i odchodzi ku oknu*)

ARNOLD Więc co tutaj robisz? Dlaczegoś swego pana opuścił?

FRANÇOIS Miłościwy pan chodzi po katedrze o budowę się dopytując, a towarzyszy mu jego przewielebność ksiądz administrator von Bantsch. Mnie posłali po Salomona Żyda, który się tu miał niedaleko znajdować.

ARNOLD Poszukaj go asan w ogrodzie. Widziałem Salomona, jak pod bzem kwitnącym siedząc na rzekę popatrywał, a ptaszki dokoła niego okruszynami chleba się raczyły.

FRANÇOIS Biegnę po niego. *(wychodzi na ogród podwojami, które zostawia niedomknięte, tak że wpada tamtędy kwitnienie krzewów, a o ile to możliwe — trochę świergotu ptaków. Przed wyjściem raz jeszcze ogląda się na Henryka)*

Scena piąta

Arnold, Henryk. Ten ostatni widocznie wstrząśnięty. Potem Erhard.

ARNOLD Co waszej miłości jest?

HENRYK *(zły na siebie i na wszystkich)* Nic, febra mnie trzęsie, jeszcze z onego pobytu w tej waszej przeklętej Nysie... A ten półgłówek w dodatku wilgoci z dworu napuszcza. *(zatrząskuje drzwi od ogrodu)* Więc król jest tutaj?... Cóż to za dziwo, że mu się chce chodzić po katedrze! Ale widzę, że straszą tu wszystkie nyskie famulusy. Po cóżes ich wasze tu przeflanconiał.

ARNOLD *(obserwując Henryka spod oka)* Z natury rzeczy tutaj się znaleźli. Ów młody Czech do dworu króla Jana przynależał i czasowo jeno w Nysie bawił. Po zgonie jego miłości Nankiera odesłano go Falkenhaynowi na zamek, gdzie się widocznie do służby nadał. Cóż to waszej wielebności przeszkadza?

HENRYK *(rozdrażniony nad potrzebę)* Za mego pobytu w Nysie dano mi go jako rodzaj pokojowca i wiele mi krwi napsuł. Nie rad go widzę. Leń, kłamczuch, opowiadacz snów, a nawet butelkę najlepszego wina francuskiego mi porwał...

ARNOLD *(z ironią)* Tego — spod Milicza?

HENRYK *(nie dostrzegając ironii. Naiwnie)* Istotnie, dostałem je od króla... Miałem je nawet ofiarować biskupowi przy widzeniu... *(spoztrzeża, że się zagalopował)* Ostatecznie — mniejsza o to! I tak już za późno.

ARNOLD *(czujnie)* Co — za późno?

HENRYK *(straszliwie się miesza. Arnold patrzy na niego podejrzliwie. W tej chwili usuwa się zza kotary na lewo Erhard, jak uprzednio, skradając się i powtarza błędnie)*

ERHARD Za późno. Za późno... Zu spät.

(spoztrzeża Henryka, wydaje okrzyk zgrozy i rzuca się do ucieczki w podwoje prowadzące do ogrodu. Wpada stamtąd światło, zielen, kwiecie i świergot, oraz wchodzi François i Salomon. Ten ostatni skromnie odziany i skromniej występuje niż w akcie II. Drzwi pozostają otwarte)

Scena szósta

Arnold, Henryk, François, Salomon.

ARNOLD *(wstał i podszedł do Henryka)* Posłuchaj mnie, mości kanoniku... Co to ma znaczyć? *(François zatrzymuje się u drzwi otwartych i wpatruje się w Henryka)*

HENRYK *(zły, w postawie obronnej)* O co waszej mości właściwie chodzi?

ARNOLD *(surowo)* Co zaszło? Dlaczego ci ludzie...

HENRYK *(przerywając)* Mamże wiedzieć, co temu oberwańcowi się przywidziało?

SALOMON *(do Arnolda)* Wasza wielebność raczy mi wskazać, gdzie mam zaczekać na posłuchanie u króla jegomości?

ARNOLD *(wskazując kotarę na lewo)* Najlepiej tutaj obok. Wezwę was, mości Salomonie, w sposobnej chwili. Skargę macie na kogo?

SALOMON *(posepnie)* Mam wielką skargę do króla — na króla... Na jego rozkaz pachołki miejskie zabierają kamienie z żydowskiego cmentarza... *(wychodzi na lewo wraz z François. Arnold słuchał go z roztargnieniem)*

Scena siódma

Arnold, Henryk, potem król Jan i Mikołaj von Bantsch.

ARNOLD *(surowo do Henryka)* Nie od dzisiaj się znamy, Henryku. Wyznaj lepiej, co się stało w Nysie pomiędzy tobą a tymi ludźmi? W połowie marca wysłał

mnie jego miłość, ksiądz biskup, za sprawami różnymi po całej diecezji — jak zresztą wiesz. Gdy wróciłem w Wielką Sobotę, już nie żył, a zdrowogom go przecie zostawił. (mówi bez żadnej specjalnej intencji, po prostu rekapitułując, aż nagle straszna myśl mu świta. Porywa Henryka za ramię. Ten kuli się i odwraca) Co się tam stało? Coś ty...

HENRYK (skulony, z odwróconą twarzą) Skądże mam wiedzieć? Wyjechałem prawie jednocześnie z tobą... Ja nie... Ja nic... Jam nie winien... To nie ja...

ARNOLD (puszcza jego ramię, odrzucając go jednocześnie aż na stół) Boże miłosierny! (ociera pot z czoła)

Słychać głosy z ogrodu, powolne wstępowanie po kamiennych stopniach ciężkich kroków, we drzwiach ukazuje się król Jan, a za nim Mikołaj. Obaj kanonicy opanowują się i przybierają pozy pełne szacunku. Król Jan to niewymownie wykwintny rycerz w sile wieku, zupełnie inny, niż wielmoża Paweł z Przemankowa w I akcie. Kultura, odwaga, fantazja, żądza przygód — wszystko to powinno się odbijać w jego aparycji, wraz z wielką finezją. Tragiczny jest gest jego pięknych rąk, szukających, pragnących się zorientować, gest ślepa. Stoi przez chwilę w drzwiach, Mikołaj — ciężki, imponujący jak zwykle, ma coś bardziej uduchowionego niż dotychczas, jakby mniej pewności siebie.

MIKOŁAJ Przedstawiam, miłościwy panie, dwóch moich konfratrów, kanclerza naszego Arnolda von Protzan i kanonika Henryka z Wierzbna. (obaj kanonicy klaniają się)

KRÓL JAN (na nazwisko Henryka poczyną się śmiać. Wszyscy patrzą na siebie trochę zdumieni. Arnold podsuwa fotel. Mikołaj z lekką, delikatnie usadza na nim śmiejącego się Króla) Wybaczcie on śmiech, świątobliwi mężowie. Przypomniał mi się Milicz, owa drobna przyczyna tyłu ciężkich perturbacji w tym małym kraju. Milicz — nie więcej niż jakoweś szpacze gniazdo... Prędkośmy to wtedy załatwili, co, księżę kanoniku de Werbno?!

HENRYK (skonfundowany, ale rad z uwagi Króla na niego zwróconej) Jak wola waszej królewskiej mości. Rad byłem usłużyć. Protzan odwraca się. Mikołaj patrzy w ziemię.

KRÓL JAN Jeszcze wtedy nieźle widział. Więc on zameczek i rzekę Barycz i ciebie, księżę kanoniku de Werbno, jeszcze oglądał. Piliśmy wtedy długo w noc: i za zdrowie Ojca Świętego i cesarza rzymskiego, a także całej tutejszej kapituły, wraz z jej głową, biskupem Nankierem. (śmieje się) Zabawny, uparty starzec. Toż on mi całą wojnę wydał... A jak mnie zlażał!

MIKOŁAJ (poważnie) Mam nadzieję, królu miłościwy, że teraz wojny tej koniec nadchodzi. Rada miasta Wrocławia uchwaliła poddać się obrzędowi pokuty publicznej, skoro tylko nowy nasz pasterz aprobatę Stolicy Świętej uzyska...

KRÓL JAN (lekko) Pokuty? Ano tak. Syn mi powiadał... Ponoć tak mocno przeholowano, że aż powstało przysłowie:

Tempore Nancheri

furit persecutio cleri.

Dalekom był, trudno wszystkiego dopatrzeć. No, to już mój Karl zgodę ostateczną tu ustalił... (do Henryka) A waści, księżę kanoniku, nagroda jakowaś się należy poza tym winem, cośmy je razem wypili. Oddałżeś staremu uparciuchowi one butelki, którem ci przez Falkenhayna doręczyć polecił? (Arnold słucha ze zgrozą. Henryk się miesza i milczy, Bantsch dobrze uważa, ale nie całkiem rozumie. Król spostrzega, że za daleko się posunął) No już dobrze, dobrze. Wiem, że mi się niedawno zmarło.

MIKOŁAJ (poważnie) Przeszliśmy po jego grobie, wasza królewska mość. Biskup Nankier leży w katedrze, którą za życia odbudowywał.

KRÓL JAN (w lekkiej zadumie) On martwy, a ja ślepiec... (ocknął się) Gdzie François? (zza kotary wsuwa się François, Król wstaje i trzyma się ręką ramienia François) Na to mi przyszło... Czeka tam kto? (zza kotary wychodzi Salomon) To ów Żyd, o którym mi powiadano, że skargę ma do mnie? Mów.

Scena ósma

Ciż i Salomon

SALOMON (z pokłonem) Miłościwy panie... Groby na żydowskim kirkucie na rozkaz rady miejskiej pacholcy rozbierają.

KRÓL JAN (z dystrakcją) Tak, tak. Miasto nowe gmachy buduje... Dość już tych pożarów... Z kamieni budować trza. Nie umarłym potrzebne kamienie, jeno żywym. (*Bantsch i Protzan spojrzeli na siebie*) Te wasze drewniane budy zmieść trzeba, te wasze — nie ulice ale bagna — zabrukować. (*zapala się*) W Italii, we Francji mocne, twarde drogi Cezar jeszcze dla swych wojsk położył...

SALOMON (z pokłonem) Miłościwy panie... Z grobu ojca mojego i matki mojej wyważono i zdarto pomniki. Rozbito je na części... Zbezczeszczono grób wielkiego rabina, którego czciły pokolenia!

KRÓL JAN (*bardzo daleki*) Człowieku... Na ruinach Rzymu i Kartaginy kozy się pasą, a ty się żalisz! (*wraca do rzeczywistości*) Księżę administratorze von Bantsch, kim jest ten Żyd? Mówiliście mi, alem zapomniał. (*Salomon się prostuje*)

MIKOŁAJ (*niechętnie. Lekki ton króla go razi*) To marszałek dworu księcia Bolka, szwagra waszej królewskiej mości.

KRÓL JAN Prawda, prawda... Posłuchaj więc, panie marszałku... Skoro mniemasz, żeś pokrzywdzony, dam rozkaz, by ci tyle kamienia miasto wydało, ileś utracił, a postawisz na kirkucie jakie zechcesz i komu zechcesz pomniki.

SALOMON (*hamując gniew*) Panie miłościwy... Raczej rozkaż mi zwrócić tamte czerepy, którem zwykł czcić od dawna.

KRÓL JAN (*zniecierpliwiony siada znowu przy pomocy François*) Dość tego... Będzie, jakom rzekł... O, cóż to za kraje, co za ludzie! (*do Henryka, który skulony i zakłopotany stał tak, by nie spotkać się ze wzrokiem François ani Protzana*) Księżę de Werbno, jak człowiek o rycerskiej fantazji, taki jak wasze, może tutaj wytrzymać?! Jakież dasy, jakież klątwy... Z igły widły, z kretowiska robi się wulkan, z myszy — słonia... Pojutrze otrząsnę proch tego miasta ze stóp moich... Jadę do Francji. Niech się mój Karł tym wszystkim bawi... Ma on po swojej matce Czeszce więcej cierpliwości niżli ja, choć młody. (*Salomon odszedł przez ten czas i stoi ponuro u kotary, Henryk na słowa do niego zwrócone ożył, podchodzi do Króla*)

HENRYK (*blagalnie, dziecinnie*) Weź mnie ze sobą, miłościwy panie! (*ruch zdziwienia i niezadowolenia u Bantscha. Zaczyna coś podejrzewać. Protzan odchodzi ku oknu. François stoi nieruchomo za krzesłem króla*).

KRÓL JAN (*zabawiony, ale z sympatią*) Pędziwiatr z ciebie, mości kanoniku. Co, księżę administratorze? Akurat dobry na kapelana dla takiego jak ja lekkoducha. Ano, może (*poczciwie*) ci się to ode mnie trochę należy za Milicz i etcetera. Zadziobują cię tutaj, co? Cnoty żądają a stałości? Zawsze mnie to zastanawiało, że od ludzi więcej żąda się stałości niż od Boga... A czy Bóg jest stały? (*Bantsch i Protzan słuchają ze zgrozzeniem. Salomon zachnął się i dyskretnie splunął. Henryk ogląda się niespokojnie. François patrzy na niego nieruchomo*) Patrzcie tylko na ten świat: owoc to stałości czy niestałości bożej? (*François żegna się pokryjonymu*) Gdyby stałość nim kierowała, skądże by się wzięła na świecie cała ona rozmaitość? Nie może wszystko zawsze być jednakie — a ów Żyd o parę kamieni, które mu zamienia na inne, lament podnosi, tak jak tamten stary grubianin o inną znow kupę kamieni, o swój Milicz! (*w miarę mówienia podnieca się*) I co mu z tego przyszło? Skoro go ludzie tutejsi świętym być mniemają, czemu sam siebie nie uratował od śmierci? (*Henryk opuszcza głowę. Protzan i Mikołaj patrzą na siebie. Salomon podnosi gwałtownym gestem obie ręce nad głowę, jak do klątwy. François ociera łzy bezsily*)... W tej chwili we drzwiach do ogrodu pojawiają się Konrad i Jan Wiener. U obecnych — odprężenie)

Scena dziewiąta

Ciż, Konrad i Wiener (*nieświadomi, że przerywają*)

KONRAD Najniższy sługa waszej królewskiej mości.

KRÓL JAN (*niekontent, że mu przerwano*) Któż tam znowu? Witajcie...

MIKOŁAJ (*głosem ochrypłym ze wzruszenia. Podejrzenia w nim dojrzewają*) Opat augustianów von Loslau i były kapelan księcia Henryka, kanonik Wiener, obaj z dawna znani waszej królewskiej mości.

KRÓL JAN (*wesół*) Właśnieście na koniec mego kazania trafili, wielebni panowie, którem tu ku zgorszeniu członków kapituły wygłosił.

WIENER (*trochę dworak*) Żalujemy bardzo, wasza królewska mość, że nas ono kżanie ominęło.

KRÓL JAN (*którego jednak coś nurtuje*) Wspomniałem w tym moim kazaniu także i o nieboszczyku Nankierze, który tyle zamętu wzniecił w tej diecezji, (*jeden Wiener potakuje*) że przez całą wieczność tego w raju nie zamodli. A światobliwość jego — owe pokuty, dobre uczynki, nocne czuwania i chodzenie boso — widać jemu jednemu tylko na korzyść poszły, nam grzesznym nic z tego. Księżę von Bantsch, wszakżeśmy przy grobie Nankiera dzisiaj byli?

MIKOŁAJ (*zamyślony, z trudem*) Tak jest, miłościwy panie.

KRÓL JAN (*z prawdziwą urazą*) Jeśli to święty, to czemu mnie nie uzdrowił?

Bantsch, Protzan, Konrad, François — wielkie wrażenie. Henryk — zakrył twarz rękoma. Salomon zacisnął pięści.

WIENER (*niewrażliwie i formalnie*) Wasza królewska mość, przecie nie było żadnego werdyktu kościelnego w tej materii. (*Bantsch gwałtownie się ku niemu odwraca, jakby go chciał uderzyć*)

KONRAD (*odzyskał równowagę. Pilnuje porządku*) Wasza królewska mość, w zamku wszystko już przygotowane na radę. Czeskie rycerstwo także już przybyło.

KRÓL JAN (*wstaje lekko, jak człowiek zdrowy, i dopiero, gdy chce zrobić krok, chwytą się ramienia François. Konrad robi, by mu pomóc, ruch zauważony przez Króla*) Ach nie, ślepcowi jeden przewodnik wystarczy, no i kapelan, bo kanonika de Wełbno zabieram na dobre. Odżalujecie go! (*śmieje się. Potem z kurtuazją*) Księżę opacie, księżę kanoniku, poproszę na chwilę o waszą asystę. Wdzięcznym wielce, księżę von Bantsch, za poświęcone mi godziny. Żegnajcie, nie wspominajcie mnie źle. Te wszystkie nie załatwione jeszcze drobiazgi zlecę synowi, nim wyjadę.

Wychodzi z ręką na ramieniu François, Konrad i Wiener za nim. Ostatni idzie Henryk. Ochłonął i nie ogląda się na pozostałych.

Scena dziesiąta

Mikołaj, Arnold, Salomon, potem Wiener, Konrad, Gracjan i Erhard.

SALOMON (*wybuchą*) Wielem na dworze księcia Bolka widział, ale...

MIKOŁAJ (*szorstko*) Czego waść się srożysz? Król cię wysłuchał. Idź, zgłoś się do ratusza. Arnoldzie, wypisz mu i od kapituły karteluszy. (*Arnold idzie do stołu*).

SALOMON Oby mu te kamienie w pierwszej bitwie pod nogi padły. Nie chcę ich! Wasza miłość, proszę o inną łaskę. (*Arnold się zatrzymał*) Mam córeczkę, dziecko małe, od urodzenia kulawe, jeśli ON jest święty, niech mi wolno będzie zanieść dziecko do podziemia, do Jego trumny... Niech ją uzdrowi!

ARNOLD (*szczerze oburzony*) Rozum ci się pomieszał, mości Salomonie. Już i do ciebie bajanie jakoweś doszło. Czekaj no chwilę, mamy tu coś ważniejszego na głowie. (*do Bantscha*) Słuchaj, Mikołaju... (*waha się*)

MIKOŁAJ (*rozumie już podejrzenia Arnolda*) Kto był przy zgonie? (*waha się*)

ARNOLD (*rozumie*) Kiedym wyjeżdżał w marcu, zdrów był, choć wielce utrudzony i wychudły...

MIKOŁAJ (*w pasji*) Nie o to pytam! Kto był przy zgonie?

ARNOLD (*nie bierze mu za złe pasji*) Tak sędzę, że on szewc, z żoną, co w Nysie przy warsztacie swoim ostali, François, Gracjan, no i Erhard. Kto z polskich kanoników — nie wiem, nie dowiadywałem się nawet. Gdym przyjechał, już był na katafalku. Nicem nie podejrzewał.

MIKOŁAJ (*w pasji*) Tyle lat nam szkodził, nikomu zła nie czyniąc, tyle lat nam bruździł przez samą swą obecność. I umrzeć nawet potrafił tak, bym nigdy odtąd nie zaznał spokoju! (*od ogrodu wchodzi Konrad i Wiener. We drzwiach robią ceremonie. Stają nieco zadziwieni*) Czemu się królowi naraził? Czemu przed naciskiem miasta nie ustąpił?!

KONRAD (*trzeźwo*) Wasza miłość wiesz dobrze — czemu. Prawo boże było po jego stronie. Król nie miał za sobą dobrej racji. Mieszczanie rozpanoszeni są nad wyraz, krzywdzą uboższych rzemieślników, uciskają Żydów. Jeśli Kościół ustąpi, kto położy tamę nieprawości?

MIKOŁAJ (*j. w.*) Wiem, wiem, wiem, że miał rację. Ale żyjemy w świecie, a ze światem paktować trzeba! Jednych można przekonać, inszym pochlebić. (*apeluje jakby do obecnych*) Na każdego jest sposób. Z królami inaczej się rozmawia niż z szewcami. Prawda?

ARNOLD Ale i król na tyle przynajmniej, co szewc winien być rzetelny. Król i Henryk — dobra z nich para!

WIENER (zgorszony) Mnie się król Jan zdaje wybornym wzorem rycerza i panującego. A że sobie Henryka upodobał — no, kapituła nie będzie chyba miała o to pretensji. Ostatecznie, o jednego Polaka mniej — to raczej zysk niż strata.

SALOMON (groteskowy, ale wzruszający) Wielmożni duchowni panowie, jako ludzie niefamilijni, nie rozumieją człowieka... To przecież nic nie kosztuje. Niech ja będę wpuszczony do grobów, ja sam tylko z dzieckiem.

ARNOLD Ten swoje!

WIENER (wyniośle) O czym ten Żyd bredzi?

MIKOŁAJ (nie bez pewnej dobroci, choć szorstko) Mości Salomonie, szanujemy cię tu w kapitule, jakożes ze dworu księcia Bolka, królewskiego szwagra. Masz tu swoje chody i nawet daliśmy ci dostęp do króla. Zrozum jednak, że człowiek twojej (waha się) wiary nie może być dopuszczony...

SALOMON (w desperacji) A to, że Chrystus był Żydem — to się nie liczy? (Mikołaj, Wiener nawet Konrad — zgorszeni) To on mógł co dzień nauczać w synagodze? To jego uczniowie mogli być wszyscy Żydami?... To nasza księga święta niczym innym nie jest, jak historią naszego narodu, (Wiener i Konrad zgorszeni, Bantsch wzburzony), a ja, którego ojciec i dziad, i pradziad byli rabinami, strefię wasz kościół, jeśli grobu waszego świętego dotknie się moje niewinne dziecko?!

ARNOLD (dobroliwie) Zacny panie Salomonie, hamujcie się... Taki z was obyty i roztrotny człowiek, a nie chcecie zrozumieć... Tak się unosicie, (kotara na lewo przepuszcza Gracjana, za nim wychyla się Erhard) jakby wam kto bronił dostępu do jakowego znakomitego medyka, tymczasem...

GRACJAN (oznajmia) Owa pustelnica, która miała widzenie w Wielki Piątek, przeprowadzona przez małą dziewczeczkę, domaga się wpuszczenia do grobów biskupich, dla modlitwy przy trumnie jego miłości Nankiera.

SALOMON (z triumfem) Roztropny człowiek!? Dobrze ksiądz kanonik von Protzan mówi... Kto teraz jest tu roztrotny, kto?

WIENER W jakimże barbarzyństwie żyjemy! Rację ma jego królewska moc, że stąd do Niemiec i Francji ucieka, gdzie więcej oświecenia.

GRACJAN (oznajmia) Ze szpitala w Nysie przywieziono trędowatych, których biskup Nankier sam zwykł był opatrywać. Proszą o dostęp do jego trumny.

KONRAD (interesuje go organizacja) Tego gromadnie zrobić niepodobna. Może by raczej po jednym, księżę administratorze; ja bym ich dał do tutejszego szpitala, a potem coraz to któregoś dopuszczał do trumny.

MIKOŁAJ (który trwał pośpiesznie zadumany) Do trumny, do trumny... Nie byłby on w onej trumnie, gdyby mnie był słuchał... Nie miałem takich słów, które by do niego dochodziły. Czemu się w tej Nysie odosobnił? Czemu opuścił Wrocław i mnie? Byłbym upilnował! Byłbym go chronił.

KONRAD (zaniepokoiony) Przecie nie był sam. Zali sądzisz, wasza wielbność, że jego miłości Nankierowi na czymś zbywało? Tam był bezpieczniejszy, niż tu, wśród miejskich zbirów i zbuntowanych przeciw niemu mnichów. Jeśli zmarł tak nagle, to na skutek zbyt ostrych praktyk sędziwemu jego wiekowi nieprzychylnych. Nieprawdaż, panie Jochel!?

GRACJAN (niepewnie. Mikołaj z napięciem słucha) Na co zmarł — nie wiem. To wiem tylko, że w Wielkim Tygodniu obchodził boso wszystkie kościoły i tak trwał na nabożeństwach, a powietrze było ostre. W Wielki Piątek wieczór zakończył życie. Ów młody Czech więcej by ode mnie mógł powiedzieć, jeno że właśnie król go wysłał z pismem jakowymś do Pragi. (Arnold drgnął) No, i nasz niedojda nie odstępował biskupa w on czas ani na chwilę, ale on nie powie. Brak mu piątej kleпки.

Erhard ukazuje się w drzwiach ogrodu, niosąc cały snop kwiatów dla Matki Boskiej. Ustawia je. Nie boi się Bantscha.

MIKOŁAJ (do wszystkich) Bóg mi świadkiem, żem tego nie chciał.

WIENER Wasza wielbność mnie zdumiewa. Przecie tak jest lepiej. Niech nawet Nankier będzie sobie świętym dla pospólstwa. I to da się wykorzystać dla Kościoła i dla nas. Byłe już nie bruździł nam żywy.

KONRAD (rzeczowo) O ile się coś niezwykłego okaże, można wszcząć proces. Wielkich to był cnót i świętobliwości a miłosierdzia człowieka, każdy zaświadczy.

GRACJAN (nieustępliwie) Czy mamy wpuścić ową pustelniczkę, która w Wielki Piątek widziała duszę biskupa Nankiera, prowadzoną przez aniołów do raju?

SALOMON (*blagalnie, wyczekująco*) Żadnego nie zrobię zamętu, przyjdę z dzieckiem o zmroku. Gdyby żył, kazałby mnie wpuścić.

MIKOŁAJ (*bierze się za głowę*) Żywy czy umarły wciąż do serca mego się dobiera. Obym przez niego na potępienie wieczne nie zasłużył... (*do Arnolda*) Nie chciałem... Nie jestem winien tej śmierci, jakem sługa boży, jakem prawy Ślązak!

ARNOLD (*wstrząśnięty*) Mikołaju... Któż cię obwinia?! (*Konrad i Wiener współczująco, ale bez zrozumienia, otaczają Mikołaja. Erhard usiadł na klęczniku i plecie bardzo piękny wieniec*) Każdy wie tyle tylko właśnie, ile mu wiedzieć dano, o samym sobie i o drugih. Bóg jeden tylko wie wszystko i ze wszystkim na czas zdąży... Nie zdążyłeś wyznać Nankierowi, że go milujesz?

MIKOŁAJ (*z rozpaczą chwytając go za ramiona i wstrząsając nim*) Nie wiedziałem... Nie zdążyłem...

K u r t y n a

Władza częściej przechodziła z rąk do rąk niż z głowy do głowy.

Stanisław Jerzy LEC